



W SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ
w Trzcianach w województwie
bydgoskim coraz lepiej
rozwija się hodowla owiec.
Dziadek — przewodniczący
spółdzielni — i jego wnuk
— obaj zapaleni hodowcy.

Fot. „Świat” — W. Sławny

SWIAT NASZA KRONIKA

BARDZO ciekawe są wystawy w warszawskiej „Zachęcie”. Renato Guttuso porywa widza. Między sztuką tego wielkiego współczesnego włoskiego grafika i malarza i znanymi nam filmami włoskimi jest wiele wspólnego. Guttuso, jak i inni włoscy artyści, jak i filmowcy włoscy, przekazują nam, dalekim ludziom z chmurnej północy, dzisiejszą prawdę o swym pięknym, słonecznym kraju, w którym życie jest bardzo pochmurne. Bezrobotny w łachmanach śpiący na ławce, dwaj chłopcy z kopalni cyny i dziesiątki innych twarzy pozostają na zawsze w naszej pamięci. Oto wielka rola sztuki: zbliżyć do siebie narody, zapoznać je ze sobą, czynić je przyjaciółmi.

Ale Guttuso opisuje swym pędzlem i ołówkiem nie tylko nędzę i niedole swojego narodu. Opisuje on również jego walkę. Walczące kobiety i walczących mężczyzn. Strajkujących, dzielących ziemię, ścierających się z policją i umarłych z ran na szpitalnym łóżku. Używa on ostrych barw. Niektórych one rażą. Zapominają o barwie włoskiego nieba, o tym, że kolory pod włoskim niebem, w blasku tamtego słońca, w tamtym powietrzu brzmią inaczej niż pod naszym ołowianym niebem i w naszym szarym powietrzu.

Wychodząc z wystawy jesteśmy bliżsi narodu włoskiego, rozumiemy lepiej jego dzisiejsze położenie i jego walkę. Ale to nie wszystko. Wychodząc z wystawy Renato Guttuso, jesteśmy szczerze i głęboko wzruszeni. Wielki artysta nie pozwolił, byśmy pozostali zimni i obojętni. Wychodząc z wystawy wzruszeni, wychodzimy z mocnym postanowieniem jeszcze lepszego przyłożenia się do naszej pracy, do naszego trudu, do naszej walki, toczącej się już w jakże innych, w jakże lepszych warunkach — w porównaniu z walką ludu włoskiego, francuskiego, czy hiszpańskiego, albo ludów kolonialnych.

W tym — wielkie znaczenie wystawy Renato Guttuso. Czas najwyższy przypomnieć i nauczyć się na pamięć tej prawdy: sztuka znaczy przede wszystkim wzruszać. Dzieło sztuki nie jest pełnym dziełem sztuki, gdy pozostajemy wobec niego obojętni, gdy na zimno tylko oceniamy jego wartości formalne czy też jego treść. Sztuka jest oddziaływać na uczucia ludzi. Aby sztuka te obowiązki spełniać mogła, wielkie uczucia ożywiać muszą twórcę, artystę. Sztuka jest najdoskonalszym sposobem przekazywania ludzkich wzruszeń.

CZY warto o tym pisać? Czy trzeba to wszystko przypominać? Warto i trzeba. Jednym z najważniejszych, podstawowych niedowładów naszej sztuki jest jej niedowład w dziedzinie uczuć. Nie powstał on sam. Trzeba sobie uświadomić, że ten niedowład uczuć został w sztuce naszej, jak i w sztuce innych narodów, w pewnej epoce świadomie wyhodowany. To burżuazja, jej krytycy, estetycy, prawodawcy sztuki

uczyli, że sztuka powinna wstydić się uczuć. Dlaczego? Bo szło o to, by sztuka stawiała się coraz bardziej obca narodowi, by oddalała się od jego spraw, by stawała się obojętna dla narodu, a naród dla niej.

Wielcy artyści, nie poddający się tej estetyce, mogliby tworzyć dzieła pomnażające uczucia narodu, mogliby jednym słowem pomnażać jego uczucia nienawiści do sprawców wszystkich nieszczęść i wszystkiego zła. Czy sądzicie, że De Gasperi, Scelba i ambasador amerykański w Rzymie — pani Luce, nie woleliby w sztuce Guttuso, we włoskich filmach, w dziełach innych artystów włoskich więcej spokoju, umiaru i chłodu, a mniej żaru miłości i nienawiści, stanowiących platformę nieprzerwanego przymierza sztuki z narodem.

SPRAWA naszej sztuki to przewyciężenie do końca o-wych pozostałości fałszywego chłodu, fałszywej namiastki rzetelnego umiarkowania. Nikt nie powinien u nas dzisiaj zapominać, że człowiek to nie tylko umysł, inteligencja i mięśnie, ale również i uczucia. Te uczucia to wielki motor ludzkiego działania, który w naszej epoce spełnia coraz większe zadania. Niewiele dokonamy, opierając się tylko na umyśle ludzkim, lekceważąc jego serce. Jeśli, jakże ludzka i piękna, miłość do dzieci każe nam pracować więcej i lepiej niż kiedykolwiek — to ta miłość równie ważna jak głębokie zrozumienie przez nas znaczenia naszego Planu Sześcioletniego i nowych zadań postawionych przed nami przez partię.

A i samą partię nie wystarczy rozumieć i rozumieć jej roli w życiu narodu. Nie wstydzimy się naszych serdecznych i żywych uczuć wobec partii, tak samo jak i wobec Ojczyzny i innych wielkich spraw naszego życia. Nie wstydzimy się naszych wielkich i głębokich uczuć, gdyż one mówią, iż jesteśmy ludźmi. Nie wstydzimy się zatem być ludźmi. Socjalizm uczy, byśmy byli dumni z tego, że jesteśmy ludźmi. Zadanie sztuki stanowi pomagać nam wszystkim ludziom w bogaceniu, wyrażaniu, przeżywaniu naszych uczuć.

Socjalizm to olbrzymie bogactwo treści. Socjalizm to dziewczyna Guttuso wznosząca okrzyk buntu, którego nie słyszymy, ale który rozumiemy; to nota radziecka, stawiająca nową tamę siłom dążącym do przygotowania nowej wojny światowej; socjalizm to nowa zniżka cen w Związku Radzieckim, nowy krok w zaspokajaniu ludzkich materialnych potrzeb; to proste i wymowne rysunki Aleksandra Kobzdeja z walczącego Wietnamu; socjalizm to bardzo szeroka i bogata sprawa. Tak bogata i różnorodna jak człowiek. Socjalizm nie dotyczy jednej lub kilku ludzkich spraw. Dotyczy wszystkich. W tym jego siła — niespożyta i niezłomna.

JAN SZELAĞ



...Naród francuski nie jest narodem tchórzki: coraz bardziej umacnia front walki przeciwko dozbieraniu bońskich odwetowców przez imperializm amerykański...

MARSZAŁEK JUIN ZGŁASZA ZASTRZEŻENIA

Korespondencja własna „Świata” z Paryża

Francuscy zwolennicy „europejskiej wspólnoty obronnej” bardzo się denerwują. Amerykański ambasador Bruce, specjalista od zagadnień atlantyckich, nalega w imieniu Waszyngtonu, aby data debaty nad układem została ustalona jak najszybciej. Przed kilku tygodniami powiadomił on grupę francuskich super-Europejczyków o „kalendarzu”, który przewidywał szczegółowo, kiedy mają zostać załatwione wszystkie etapy ratyfikacji układu o „europejskiej wspólnotie obronnej”, innymi słowy — kiedy mają zostać spełnione wszystkie żądania amerykańskie. Według tego „kalendarza”, cała robota — włącznie z ratyfikacją układu — miała być odwołana do dnia 15 kwietnia. Pan Georges Bidault oświadcza każdemu, kto chce go słuchać, że nie wyjedzie na konferencję do Genewy, dopóki termin ratyfikacji nie będzie ustalony. A tymczasem 10 kwietnia Zgromadzenie Narodowe rozpoczyna świąteczne wakacje...

Wszyscy obserwatorzy polityczni są zgodni, że rola przymusowego arbitra, jaką odgrywa obecnie premier Laniel, staje się z dnia na dzień trudniejsza. Ponieważ jednak przed konferencją genewską dymisja rządu uznana byłaby za ciężką porażkę agresywnej polityki Stanów Zjednoczonych, Eisenhower i Dulles zalecili swym francuskim przyjaciółom grę na zwłokę. Tym bardziej, że wzrastający nacisk amerykański na Francję w sprawie kontynuowania wojny w Indochinach napotyka na rosnący opór ze strony francuskiej opinii publicznej. Naród francuski nie zadowolony już obietnicami rządu, który zmuszony był przyznać, że jedynym rozwiązaniem konfliktu mogą być rokowania. Podczas gdy opinia publiczna domaga się natychmiastowego podjęcia bezpośrednich rozmów z Ho Szi-minem, rząd francuski zwraca się do imperialistów amerykańskich z prośbą o zwiększenie pomocy wojskowej dla kontynuowania „brudnej wojny”. W tym właśnie celu wysłany został do Waszyngtonu generał Ely, szef sztabu wojsk lądowych.

Stałe pogarszanie się sytuacji wojskowej w Indochinach zwiększa trudności rządu. Przeciwnicy „europejskiej wspól-

noty obronnej” odnoszą natomiast coraz nowe sukcesy. Niezmiernie charakterystyczne było zwłaszcza ostatnie wystąpienie marszałka Juin. Przemawiając 27 marca na zebraniu oficerów rezerwy w Auxerre, Juin oświadczył, że „gwarancje ofiarowane Francji przez układ o europejskiej wspólnotie obronnej i jego dodatkowe protokoły, są niewystarczające i nie dość wyraźne. Wydaje się, że całe to zagadnienie stanowi coś w rodzaju nieuczciwej transakcji kosztem Francji”.

Wypowiedź najwyższego dowódcy francuskiego, piastującego równocześnie stanowisko jednego z szefów armii atlantyckiej — stanowi potwierdzenie powszechnej we Francji opinii, że projekt „europejskiej wspólnoty” jest w istocie planem likwidacji armii francuskiej, której resztki miałyby być podporządkowane dowództwu hitlerowskich generałów.

Nic też dziwnego, że to publiczne wy-

Rząd Lanieli znajduje pieniądze na „brudną” wojnę w Wietnamie, zmniejsza



WESZLIŚMY w nowy okres stosunków międzynarodowych. Rozpoczęliśmy bowiem rozstrzygającą bitwę, długotrwałą bitwę o nieznany dotąd w dziejach taki układ stosunków międzynarodowych, który by gwarantował w s z y s t k i m narodom świata bezpieczeństwo i pokój. Brzmi to jak utopia, a jednak istnieją po raz pierwszy w dziejach realne podstawy do prowadzenia takiej bitwy i do wygrania takiej bitwy.

Zanim uzasadnię to twierdzenie, pozwólcie, że przypomnę szereg znanych faktów, ważnych dla zrozumienia sytuacji międzynarodowej, w której owa bitwa musiała się rozpocząć.

Rozpoczęcie od przypomnienia pewnej historycznej prawdy: wszystkie dotychczasowe systemy bezpieczeństwa narodów opierały się na zasadzie względnej równowagi sił między kapitalistycznymi grupami państw. Jeśli potęga militarna jednego z mocarstw czy grupy państw rosła zbyt gwałtownie i przechylała wagę na jedną stronę, wówczas rzeczą dyplomacji strony przeciwnej było sojuszem z innymi mocarstwami, czy grupami państw stworzyć przeciwwagę. Nie udało się — no, to dyplomaci kończyli swą pracę, a zaczynali działać generalnie. Był to więc system ogólnego bezpieczeństwa bardzo zawodny — niemniej aż po drugą wojnę światową jedyny, który praktycznie był stosowany.

Dwie okrutne wojny światowe pokazały narodom absurd pozostawiania sprawy pokoju w rękach zawodowych balansistów.

Co prawda po zdruzgotaniu państw antykominternu, a więc po zdruzgotaniu tych państw, których rządy wykorzystwały system regionalnych sojuszków dla wywołania nowej wojny światowej, ludzkość miała szanse stworzenia nowego systemu, tym razem zbiorowego bezpieczeństwa. Układy Jaltańskie i Poczdamskie oraz powstanie Organizacji Narodów Zjednoczonych dawały możliwości rozwinięcia tej jedynej idei, która narodom świata zapewnić może trwały pokój.

Jak wiemy, tak się nie stało, na skutek polityki sił imperialistycznych w świecie, polityki zmierzającej do przygotowania nowej wojny światowej.

Odradzanie militarystki pruskiej i japońskiej, systemem paktów Atlantyku i Pacyfiku, układów z Bonn i Paryża, z San Francisco i Tokio — oto groźna treść „obronnych” systemów bezpieczeństwa, budowanych na starą imperialistyczną modłę przez waszyngtońskich polityków.

Podstawą dla tego nawrotu wojennych planów w wielu wpływowych kołach świata kapitalistycznego stała się wyzwolona po raz pierwszy w r. 1945 energia atomowa. Pewnym kołom kapitalistycznym wydawało się, że posiadają broń, która umożliwi zniszczenie kraju socjalizmu i — zapanowanie monopolu amerykańskich nad całym światem. Złudzenie to znalazło nawet swój wyraz w głośnym przez kilka pierwszych powojennych lat hasle, że wiek XX będzie wiekiem amerykańskim. Slogan ten znikł jednak dość szybko, zmieciony podmuchem bomby atomowej, a z kolei wodrowej, wyprodukowanych w Związku Radzieckim. Stało się jasne, że wiek XX nie będzie wiekiem amerykańskim, natomiast może być albo wiekiem masowej zagłady ludzi i cywilizacji świata, albo o wiekiem, w którym zwyciężyło braterstwo ludów i utrwalił się pokój. Ta alternatywa zmobilizowała setki milionów ludzi w obronie pokoju. Przy czym, przypomnijmy, że światowy ruch obrońców pokoju stał się dlatego tak potężnym ruchem w naszych czasach, że idea trwałego pokoju, uważana przed powstaniem pierwszego kraju socjalizmu powszechnie za utopię, stała się namacalnie sprawdzalną z chwilą, gdy pokój stał się wspólnym chlebem 800 milionów ludzi różnych narodów i ras większej części Azji i większej części Europy. (Tu muszę wspomnieć z dumą, że nasz kraj, osławiony ongi jako stałe źródło granicznych konfliktów wojennych, swymi dzisiejszymi granicami pokoju przyczynił się również do owej przemiany pojęć, którą ob-

POCZĄTEK ROZSTRZYGAJĄCEJ BITWY

EDMUND O S M A Ń C Z Y K

serwujemy w drugiej połowie XX wieku w Europie i świecie).

Rzecz prosta, że idea zbiorowego bezpieczeństwa, wyrażana polityką pokojową narodów jednej trzeciej świata, ma swoje oparcie w ustroju, który narody tej części Europy i Azji już zbudowały, względnie budują.

Czy to oznacza jednak, że idea ta nie może być realna i dla krajów o innych ustrojach?

Gdybyśmy przyjęli takie założenie, musielibyśmy uznać nieuchronność nowych wojen i absurd walki o pokój i sielankową bzdurę „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”.

Boję naszych towarzyszy walki o pokój w Stanach Zjednoczonych, Włoszech, Francji, Niemczech, Japonii uznać musielibyśmy za donkiszoterię, walkę z wiatrakami.

Wiemy, że tak nie jest. Ich walka daje konkretne wyniki. A przeciw czemu walczą owi tak różnorodni w swych poglądach zachodnio-europejczy, czy amerykańscy, czy południowo-azjatyccy bojownicy o pokój? Przeciw staremu systemowi bezpieczeństwa, który jest tradycyjnie niczym innym, jak tylko pokrywką dla agresywnych planów możnowładców, raubritterów, monopolistów.

Wszystkie te przypomnienia znanych faktów konieczne były dla zrozumienia wagi historycznej radzieckich propozycji, przedłożonych na konferencji berlińskiej 10 lutego, rozszerzonych w nocie radzieckiej do rządów mocarstw zachodnich z 31 marca.

10 lutego 1954 był dniem rozpoczęcia rozstrzygającej bitwy o przyszłość Europy i świata. Pamiętam dobrze ten dzień i podniecenie w dziennikarskim mrowisku w centrach prasowych Berlina, gdy w godzinę po rozpoczęciu się Sesji Czterech otrzymaliśmy odbite na powielacz kartki z tekstem propozycji w sprawie układu o zbiorowym bezpieczeństwie narodów Europy. Nie spotkałem wówczas ani jednego dziennikarza, bez względu na to, jakich był poglądów, który by nie czuł, że to jest coś o wiele więcej, niż zwykła dyplomatyczna propozycja.

A kiedy po pięciu godzinach doczekaliśmy się konferencji prasowej, na której informowano nas o przebiegu dyskusji czterech ministrów nad propozycją radziecką, jasne było dla każdego myślącego korespondenta, że bez znaczenia są te czy inne wykrętne odpowiedzi ministrów mocarstw zachodnich, natomiast znaczenie posiada tylko końcowe zapytanie min. Mołotowa: — Chciałbym wiedzieć, czy panowie odrzucają również samą ideę zbiorowego bezpieczeństwa?

Panowie Dulles, Eden i Bidault poculi się nieswojo i poprosili o zamknięcie w tym dniu dyskusji ze względu na późną porę.

Panowie Dulles, Eden i Bidault wiedzieli bardzo dobrze, że w tej sytuacji międzynarodowej, którą mamy w r. 1954, otwarcie wypowiadać się przeciw idei zbiorowego bezpieczeństwa jest bardzo ryzykowne, wobec odmiennej zgoda opinii i własnych narodów, i pozostałych narodów świata.

Min. Mołotow w następnych dniach konferencji nalegał, by mocarstwa zachodnie, skoro im nie odpowiada projekt radziecki, wysunęły swoje propozycje, ale oczywiście również oparte na zasadzie zbiorowego bezpieczeństwa wszystkich narodów Europy. Min. Mołotow wskazywał, że wiele z zastrzeżeń, głoszonych przez stronę zachodnią, może być rozwianych przez odpowiednią zmianę projektu. Tak np. skoro min. Eden zwrócił uwagę, że Kanada jako dominium brytyjskie brała udział w wojnach europejskich, a zatem nie powinna być wykluczona z paktu zbiorowego bezpieczeństwa narodów Europy, min. Mołotow odpowiedział natychmiast, że udział Kanady mógłby być oczywiście możliwy... Min. Mołotow wskazał już na konferencji berlińskiej mocarstwom zachodnim, w tym i Stanom Zjednoczonym, że wszystkie drogi są otwarte, które prowadzą do przyjęcia idei zbiorowego bezpieczeństwa. Potrzebna jest tylko dobra wola wszystkich stron i, co za tym idzie, chęć prowadzenia dyskusji, a z kolei rokowań...

Trzej ministrowie mocarstw zachodnich nie wykazali w Berlinie ani dobrej woli, ani dobrych chęci w tym względzie. Kurczowo trzymali się starego systemu, w nadziei, że już wkrótce wznoszona przez nich od lat budowla odradzająca militarystkę niemiecką, zostanie uwieńczona zgodą parlamentów Francji i Włoch.

Nie docenili siły alternatywy radzieckiej, zgłoszonej 10 lutego 1954, i nie docenili upartości pokojowej polityki radzieckiej.

Nota radziecka z 31 marca, nie ostatnia na pewno w tej sprawie, przerzuciła dyskusję na szeroką arenę opinii światowej.

I śmieszni są ludzie, którzy starają się widzieć w propozycjach radzieckich tylko takie czy inne punkty, takie czy inne dyplomatyczne posunięcia. Istotną treścią propozycji radzieckich jest postawienie przed rządami krajów świata bardzo konkretnej alternatywy: mamy możliwość utrwalenia obecnego podziału świata i tym samym groźby nowej wojny, a jednocześnie mamy realną możliwość, układem o zbiorowym bezpieczeństwie narodów, uczynienia pokoju niepodzielnym. Walczmy zatem o tę drugą alternatywę.

Bitwa już się rozpoczęła. Rozpoczęła się rozstrzygająca bitwa o przyszłość świata, bitwa niewątpliwie długotrwała, ale dająca szanse utrwalenia też na bardzo długo pokoju w Europie i w świecie. Od wszystkich narodów, a więc i od naszego, zależy, jaki wynik będzie miała ta bitwa.

zaś dotacje na szkolnictwo. Protestujących studentów masakruje policja.



stąpienie „pierwszego żołnierza Francji” przeciwko armii europejskiej podziało na koła rządowe jak wybuch bomby. Premier Laniel wezwał marszałka do złożenia wyjaśnień, a minister obrony Pleven zagroził podaniem się do dymisji.

Ale nie koniec na tym. Zaledwie bowiem informacje o wystąpieniu marszałka Juin przedostały się do wiadomości publicznej, a już dowiedziano się, że 58 deputowanych socjalistycznych podpisało deklarację przeciwko „europejskiej wspólnocie obronnej” oraz zażądało zwołania nadzwyczajnego kongresu SFIO, który miałby zdecydować o głosowaniu socjalistycznej grupy parlamentarnej w sprawie „armii europejskiej”.

W tych warunkach rząd zdecydował się na nowe posunięcie: na rozkaz Waszyngtonu marszałek Juin został dnia 1 kwietnia usunięty ze stanowiska wiceprzewodniczącego Najwyższej Rady Wojskowej (przewodniczącym jest zawsze z urzędu — prezydent) oraz ze stanowiska stałego doradcy rządu w sprawach wojskowych.

Wystąpienie marszałka Juin stanowi dowód, że także armia francuska zdecydowanie przeciwstawia się projektowi utworzenia „antyeuropejskiej armii”. Przecież Juin daleki jest od wszelkiej sympatii dla obozu lewicy, a wystąpienie jego świadczy jedynie o nastrojach panujących w armii i związanych z nią kołach.

Usunięcie Juin zaostriżyło jeszcze sytuację we Francji. „Jeśli rząd sądzi, że usuwając marszałka Juin zamknie usta opozycji przeciwko armii europejskiej — pisze „Combat” 2 kwietnia — to myli się grubo. Wprost przeciwnie. Słowa marszałka nie pójdą w zapomnienie. Klamka jeszcze nie zapadła. Państwo lubi posłusznych żołnierzy. Można było przypuszczać, że panowie Laniel, Bidault i niektórzy inni wyciągnęli wnioski z doświadczeń okresu 1940—1945, iż posłuszeństwo takie jest nieraz równoznaczne z tchórzostwem”.

A naród francuski nie jest narodem tchórzów. I dlatego coraz szerszy staje się front walki przeciw dobrojeniu bońskich odwetowców.

FRANCIS CREMIEUX

Marszałek Juin wystąpił przeciw „europejskiej wspólnocie obronnej”



PIĘĆDZIESIĄT
LAT

CINQ HEURES DU MATIN
l'Humanité
ORGANE CENTRAL DU PARTI COMMUNISTE FRANÇAIS
LUNDI
29 MARS 1954
88^e jour de l'année
Tirage précédent : 163.914
FONDATEUR : JEAN JAURES
REDACTEUR EN CHEF : VAILLANT-COUTURIER
(1926-1937)
DIRECTEUR : MARCEL CACHIN
DEPUTÉ DE PARIS
ADRESSE : 37, RUE DU LOUVRE, PARIS (2^e)
Tél. TUR 52-00 (15 l.), TUR 53-00 et 95-60, C.C.P. Paris 24 18
Abon. 1 an : 3.100 fr. ; 6 mois : 1.650 fr. ; 3 mois : 850 fr.
50^e ANNÉE (Nouvelle série, N° 2974)
CORSE ET AFRIQUE DU NORD : 17 FR.
15 FR.

BYLY i są takie okresy w historii współczesnej Francji, kiedy z reguły powiększa się nakład „Humanité”. Dzieje się tak zawsze, ilekroć tysiące ludzi podejmują ważne decyzje i postanawiają zasięgnąć czyjejs mądroj i uczciwej rady. „Humanité” jest bowiem nie tylko świetnie redagowanym dziennikiem. Jest to również bliski i wy-

próbowany przyjaciel paryskich metalowców i górników z Pas-de-Calais, tkaczy z Roubaix i chłopów spod Agen.

W lutym 1934 roku, na wezwanie Komunistycznej Partii Francji, wszyscy ludzie pracy stawali do walki z faszystowskim spiskiem. W tych pamiętnych dniach nakład „Humanité” zwiększył się trzykrotnie. Podobnie było w roku 1936, roku zwycięstwa Frontu Ludowego, w okresie wielkich strajków czerwcowych. Podobnie było również w czasie sierpniowych strajków w ubiegłym roku, kiedy „Humanité” ukazywała się w podwójnym nakładzie.

Zjawisko to nie jest oczywiście sprawą przypadku. Założona w roku 1904 przez Jean Jaures’a „Humanité” ma za sobą pół wieku nieprzerwanych bojów o chleb i pokój, o niezawisłość Francji i godność człowieka pracy. „Humanité” zdobyła też sobie wśród mas ludowych ogromne i zasłużone zaufanie.

— „Huma” to jest nasza gazeta — mówią paryscy metalowcy i górnicy z Nordu. Mówią „Huma” — i ten skrócony tytuł przypomina zdrobniałe imię lub serdeczny przydomek, jaki nadaje się zwykle staremu przyjacielowi lub komuś z rodziny. Ich stosunek do pisma jest też taki właśnie: bliski i rodzinny.

„Humanité”! Za tymi sześcioma stronami druku, po które sięgają codziennie setki tysięcy czytelników, stoją niezłomni bojownicy kilku pokoleń francuskiego ruchu robotniczego. Jest wśród nich stary komunard Cameli-



Gabriel Peri

Lucien Sampaix

nat. jest Jean Jaures; jest czeigodny weteran Marcel Cachin — dyrektor „Humanité” od roku 1918; i Paul Vaillant-Couturier — redaktor naczelny dziennika w latach 1926—1927; i Etienne Fajon i Andre Stil.

„Humanité” — był to również sztandar francuskiego Kuchu Oporu. Na liście poległych żołnierzy Resistancj, na której tyle jest również polskich nazwisk, widnieją nazwiska wielu pracowników redakcji „Huma”: Lucien Sampaix’a, Roberta Blache’a i Henry Terryn’a, Rene Lepape’a, poety Andre Chennevieres’a i zecera Landragin’a, Lei Maury, Victora Messer’a i Pierre Mars’a, Maurice’a Chancoing i Raoul Chollet’a. Widnieje wreszcie na niej imię Gabriela Peri, bohaterskiego bojownika, o którym pisał Paul Eluard, że „zginął za to, co daje nam życie”; imię Gabriela Peri, którego ostatni list z Mont Valerien należy do świętych pamiątek wspólnej walki narodów przeciw hitlerowskiej niewoli:

„Dziś jeszcze, jak mnie zawiadomił kapelan więzienny, zostanie rozstrzelany jako zakładnik... Umieram po to, by utorować drogę „rozśpiewanemu Jutru”... Żegnajcie! Niech żyje Francja!”

„Niech żyje Francja!” Ten okrzyk Gabriela Peri podejmują miliony ludzi, którzy w kwietniu 1954 r. obchodzą 50 rocznicę „Humanité”. Ich „Huma” — dziennik Marcel Cachin’a i Paul Vaillant-Couturier’a, Gabriela Peri i Lucien Sampaix’a — jest dzisiaj wielkim dziennikiem ludu francuskiego, walczącego we wspólnych szeregach o dobrą przyszłość swego kraju i pokój świata; jest ogromną trybuną, z której przemawia cały naród, wyrażający niezachwianą wierność dla swojej wspólnie wypracowanej tradycji i dla najpiękniejszych ideałów międzynarodowego braterstwa.

A. M.



Mówi Jaures — bojownik o pokój: „Przygotowanie rozbrojenia Europy jest najważniejszym i najbardziej pilnym zadaniem, które staje obecnie przed zorganizowanym proletariatem”

Preparer le desarmement de l'Europe est la tâche la plus haute et la plus pressante qui s'impose maintenant au prolétariat organisé.

Jean Jaures



Rok 1921. Marcel Cachin przemawia na wiecu w Saint Denis.

MÓWI MARCEL CACHIN

„HUMANITE“ uważa, że pierwszym ludzkim obowiązkiem jest dzisiaj praca dla ocalenia zagrożonego znowu pokoju. Trzeba zrobić wszystko dla położenia kresu niebezpieczeństwu... Trzeba ostatecznie ponieść tajnej dyplomacji. Trzeba porozumieć się i przystąpić do stopniowego rozbrojenia oraz do wymiany handlowej między wszystkimi narodami. Trzeba, żeby na podstawie wspólnego układu wszyscy wyrzekli się broni atomowej... „Jednocześnie „Humanite“ nadal prowadzić będzie nieustraszoną i zdecydowaną kampanię na rzecz jedności akcji robotników i chłopów...

„Humanite“ przypomina wszystkim, że w roku 1905 francuskie grupy socjalistyczne, rozproszone wtedy i podzielone, połączyły się mimo dzielących je rozbieżności; działały one później w jedności przez 10 lat z największym pożytkiem dla narodu i dla klas pracujących.

„Należy wspomnieć wielkie i owocne lata 1934, 1935, 1936, kiedy utworzył się Front Ludowy i Demokratyczny...

„Nie zapominajmy dziś także o latach, które nastąpiły po roku 1945, po zakończeniu drugiej wojny światowej. Kiedy to przez trzy lata bojownicy Ruchu Oporu wspólnie prowadzili naród...

„Sądzimy, że jest sprawą konieczną i nie cierpiącą zwłoki zrealizować w roku 1954 nową jedność, która — wedle słów Jaurès'a — zdziesięciokrotnie głębokie siły demokracji francuskiej...”



Plakat z roku 1935: „Zagroźmy drogę faszystom i wojnie. „Humanite“ — organ centralny Komunistycznej Partii Francji — jest wielkim dziennikiem Frontu Ludowego“

KARTKA Z DZIEJÓW „HUMANITE“

W 1929 ROKU Tardieu wzmógł we Francji bardziej jeszcze, niż jego poprzednik Poincaré, kampanię antyradziecką, zastrzył antykomunistyczne i antyrobotnicze represje. W owym czasie imperializm francuski przewodził przygotowaniom do antyradzieckiej wyprawy krzyżowej, walcząc o lepsze z imperializmem angielskim i jego czołowym reprezentantem, królem naft, sir Henry Deterdingiem. Ażeby ugodzić w Partię Komunistyczną, trzeba było jednak przede wszystkim ugodzić w „Humanité“, szlendar i głos Partii.

Rząd Tardieu powziął decyzję, by za jednym pociągnięciem, i to pociągnięciem legalnym, pozbyć się organu Partii. Istniał wówczas w Paryżu Bank Robotniczy i Chłopski, prowadzony przez działaczy partyjnych. Okazało się potem, że jeden z nich — i to zajmujący stanowisko kierownicze — zaprzędał się i popełnił właściwie rolę agenta Tardieu. Do banku składali swe skromne oszczędności sympatycy, drobni kupcy i rzemieślnicy. Za zgodą i przy współudziale swych agentów, stojących na czele banku, Tardieu spowodował ogłoszenie jego upadłości. Bank Robotniczy i Chłopski podtrzymał finansowo „Humanité“. W tej sytuacji dziennikowi zabrakło więc dwu milionów franków, niezbędnych do spłacenia comiesięcznych zobowiązań. Suma obniżła się jak na owe czasy, odpowiadająca dziś około 90 milionom franków!

Tardieu nie posiadał się z uciechy. Wszyscy, od przywódców socjalistycznych do faszystów — zacierali ręce, głosząc zwycięstwo. Ale radość ich była przedwczesna.

Głos partii rozbrzmiał donośnie za pośrednictwem „Humanité“, trafił do serca narodu, obnażył nieuczciwe knowania rządzących i ich spisek przeciwko pokojowi. Ukazał też, do czego dążyli awanturnicy, kierujący spra-

wami Francji: do zbrodniczej wojny przeciw Związkowi Radzieckiemu, krajowi socjalizmu.

Rozpoczęta została natychmiast olbrzymia kampania, która zniweczyła zapędy reakcyjnych ministerstw. Trzeba było zdobyć natychmiast dwa miliony franków — po to, by żyła „Humanité“. I oto w ciągu kilku tygodni, składając grosz do grosza, lud francuski złożył sumę niezbędną dla utrzymania swego dziennika.

Nie byłem wówczas członkiem partii. Ale jako czytelnik „Humanité“ czułem doskonale i jakby instynktownie, jak ciężkie i pozbawione perspektyw byłoby życie mas ludowych bez dziennika, który codziennie broni ich interesów. Murarze, pracujący obok mnie na budowie, zaciskali pięści. Alarmowali swych towarzyszy pracy, wypisywali na murach: „Trzeba dwóch milionów franków dla „Humanité“! Postanowiliśmy wtedy, że co tydzień każdy z nas odkładać będzie z wypłaty 10 franków na rzecz dziennika. Codziennie, a zwłaszcza w soboty, przed biurem na Montmartrze ustawiał się długi rząd ludzi. Byli to robotnicy, intelektualiści, studenci, matki z dziećmi na rękach, a także ubodzy starzy ludzie, którzy przynosili co mogli i nam, młodym, opowiadali o wielkim Jaurès'ie, założycielu dziennika.

„Humanité“ żyła i żyje! Od czasu zaś tamtych wydarzeń członkowie Komitetów Obrony Dziennika (w skład których wchodziły komunisty i bezpartyjni) nawołują w każdą niedzielę na placach targowych, na ulicach miast i wsi: „Żądajcie „Humanité“! Czytajcie „Humanité“!

Okrzyk ten znany jest dobrze każdemu Francuzowi.

Jean Guillemot
korespondent „Humanité“
w Warszawie



Zdjęcie z lat trzydziestych: Maurice Thorez w rozmowie z Paul Vaillant-Couturier, ówczesnym redaktorem naczelnym „Humanite“

MÓWI MAURICE THOREZ

„50 LAT i jakich lat! To półwiecze, zaznaczone wstrząsami, jakich nie znało żadne inne, wydaje się przełomowym okresem historii. Porzucając utarte drogi i niszcząc za jednym zamachem stare, podzielone na klasy społeczeństwo, ludzkość wyrwała się i wstępuje na drogę socjalizmu...

„Jaurès zakłada swój dziennik w przededniu pierwszej rewolucji rosyjskiej i rewolucję tę wita z entuzjazmem. Ówczesna Europa jest wulkanem, którego wrząca lava zapowiada bliski wybuch; prochnią, która w każdej chwili wylecieć może w powietrze. Rywalizujące z sobą imperializmy obserwują się, czyhają, zbroją się, przygotowują masakrę... Dwie wojny bałkańskie poprzedzają straszliwą hekatombę... Jaurès, apostoł Pokoju, wskazuje na niebezpieczeństwo: zostaje zamordowany!

„Socjal-szowiniści przywłaszczają sobie jego dziennik, kiedy rozprzestrzenia się rzeź wojenna... Ale oto na wezwanie Lenina robotnicy i chłopci Rosji wypędzają swych wiskowych ciemniarzy, ogłaszają dyktaturę proletariatu i deklarują pokój światu.

„Oto dalej interwencja kapitalistycznego Świętego Przymierza przeciw władzy Rad... We Francji lud solidaryzuje się z rewolucją rosyjską, Marcel Cachin wzywa w „Humanite“ do przystąpienia do III Międzynarodówki. Grudzień 1920: Kongres w Tours. Partia Komunistyczna podejmuje chlubne tradycje francuskiego ruchu robotniczego, zbrojnego teraz w naukę Lenina. Z roku na rok, pod wzmocnionymi ciosami represji, w długich walkach, Partia nasza rośnie stając się coraz bardziej krwią z krwi i kością z kości narodu. Dziennik partii demaskuje wojny kolonizacyjne w Maroku i w Syrii, okropności faszystów, hitlerowskie niebezpieczeństwo, politykę „nieinterwencji“ w Hiszpanii... Mobilizuje on masy przeciw francuskim wielbicielom Mussoliniego i Hitlera, wykuwa jedność akcji z robotnikami-socja-

listami i przyczynia się do utworzenia warunków niezbędnych dla powstania Frontu Ludowego w roku 1936...

„Ale 200 rodzin nie chce pokoju, opartego o sojusz ze Związkiem Radzieckim, o sojusz łączący wszystkie państwa zagrożone przez faszyzm. 200 rodzin sprzedaje Francję Hitlerowi, a partia komunistyczna zostaje zdelegalizowana. „Humanite“, już jako pismo podziemne, ogłasza pierwsze wezwanie do Ruchu Oporu, organizuje szeregi walczące bez uniformów. Nieśmiertelna sława tym bohaterom, tysiącom bohaterów poległych i rozstrzelanych za to, że redagowali, drukowali i rozpowszechniali „Humanite“!

„Nazajutrz po Wyzwoleniu, jawnie już i w pełnym świetle, „Humanite“ dalej prowadzi swoją walkę o jedność narodu, szybką odbudowę Francji, niezależność polityczną i gospodarczą, pomyślność i szczęście wszystkich Francuzów.

„Po usunięciu ministrów komunistycznych z rządu, „Humanite“ — wierna swemu powołaniu budzieliśki świadomości — występuje przeciw planowi Marshalla i paktowi atlantyckiemu, przeciw przygotowaniom do trzeciej wojny światowej, przeciw służalcemu podporządkowywaniu się imperializmowi amerykańskiemu, który Francję przekształcać chce w atomowy poligon, a francuską młodzież — w piechotę przeznaczoną na stracenie. Piętnuje ona interwencję amerykańską w Korei, podobnie jak potępiała od pierwszego dnia wojnę w Wietnamie, gdzie Francuzi giną w imię interesów, które nie są interesami Francji. Powstaje ona przeciw zgubnym układom z Bonn i Paryża, które uświęcają odrodzenie militarysty niemieckiego, koniec francuskiej armii narodowej, ujarzmienie naszego ludu. Ślawi ona przyjaźń francusko-radziecką, rękomię i gwarancję pokoju.

„Głos „Humanite“ jest głosem Ojczyzny...”

Lipiec 1952. Powszechny protest opinii publicznej wyrwał z więzienia Andre Stila. W redakcji „Humanite“ wita go z radością Etienne Fajon.



ANGLICY W MOSKWIE



W lutym 1954 roku bawiła w Moskwie grupa angielskich przemysłowców. Zawarli oni wiele bardzo korzystnych umów handlowych na dostawę do Związku Radzieckiego statków, maszyn i urządzeń elektrycznych



Z wielkim podziwem oglądali Anglicy nowoczesne fabryki radzieckie. Specjalne zainteresowanie wzbudziła m. in. elektrycznie kontrolowana obrabiarka szybkoobrotowa (na zdjęciu: drugi od prawej James Fielding)

Oświadczenie ministra handlu zagranicznego ZSRR I. G. Kabanowa, złożone 4 lutego br. na przyjęciu dla delegacji angielskich kół gospodarczych, w sprawie perspektyw rozwoju stosunków handlowych między obu krajami — wywołały olbrzymie zainteresowanie w Wielkiej Brytanii. Jak oświadczył minister Kabanow, radzieckie zamówienia na statki i urządzenia oraz zakup w Anglii rozmaitych towarów mogłyby osiągnąć

w ciągu 4 lat sumę 4,5 miliarda rubli, czyli ponad 400 milionów funtów szterlingów.

Poniżej zamieszczamy fragmenty artykułu znanego przemysłowca angielskiego, Jamesa Fieldinga, który brał udział w tych rokowaniach handlowych w Moskwie. Artykuł ukazał się na łamach angielskiego tygodnika „Illustrated” z dnia 27 marca 1954 roku.

WCZESNYM rankiem, w niedzielę 14 lutego, bardzo szczęśliwy położyłem się do łóżka w moskiewskim hotelu National. Wróciłem właśnie z przyjęcia, wydanego z okazji największego zamówienia, jakie kiedykolwiek zostało złożone w mojej firmie „Fielding and Platt, Ltd.” w Gloucester.

Zamówienie na sumę przeszło 2 i ćwierć miliona funtów do-

tyczyło pras hydraulicznych do metalu i urządzeń do obróbki drzewa. Uzgodniono je zaledwie przed paroma godzinami, w sobotę po południu, po dwóch tygodniach pertraktacji z przedstawicielami rosyjskich kół handlowych.

Z Rosją Radziecką firma moja prowadziła handel już przed wojną. Toteż jesienią ub. r. zostałem zaproszony, aby wziąć udział w podróży brytyjskich przemysłowców, udających się do Moskwy.

Przed wyjazdem przez kilka tygodni korespondowaliśmy z Rosjanami, przyjechałem więc do Moskwy dość dobrze zorientowany w ich zapotrzebowaniach.

Na lotnisku moskiewskim oczekiwała nas grupa przedstawicieli radzieckich z Mikołajem Niestierowem, przewodniczącym Wszechzwiązkowej Izby Handlowej, na czele. Rosjanie, z których większość mówiła doskonale po angielsku, byli bardzo mili. „Cieszę się, że pana widzę, mister Fielding — mówił jeden po drugim. — Mamy nadzieję, iż mój pan dobra podróż i że wizyta pana okaże się pożyteczna”.

Przed dworcem lotniczym czekało już na nas 12 samochodów marki „Zis”. Są to szybkie, obszerne i wygodne limuzyny. Przez ośniewione ulice Moskwy przejechaliśmy do górującego nad Placem Czerwonym hotelu National. Otrzymałem apartament składający się z sypialni, saloniku i łazienki. Pokoje były czyste, wygodne, wyłożone grubymi dywanami. Pokojówki i kelnerki ubrane były w ciemnozielone stroje, a kelnerzy nosili białe zakłady. Część z nich mówiła po angielsku lub po francusku... Podczas gdy uzgadniano terminy spotkań z przedstawicielami Ministerstwa Handlu

Zagranicznego, niektórzy z nas wybrali się na zwiedzanie Moskwy. Ubrani w podbite futrem płaszcze i astrachańskie czapki — wmieszczałem się w tłum na moskiewskich ulicach. W Londynie zapewniano nas, iż strój ten jest najbardziej rozpowszechniony w Moskwie. Coś się jednak nie zgadzało. Przeglądano nam się bez przerwy. Przyczynę tego wyjaśniła nam dopiero nasza tłumaczka: „To wszystko przez te czapki — powiedziała. — One są takie dziwne”. Odpowiedzieliśmy, iż według naszego przekonania takie właśnie czapki zimowe noszone są w Rosji. Dopiero teraz spostrzegliśmy, iż nasze nakrycia głowy, wyprodukowane w Anglii, mają teatralny wygląd — tak jakby były zrobione dla rosyjskich tancerzy w jakiejś komedii muzycznej. W najbliższym sklepie kupiliśmy normalne czapki rosyjskie. Dla mnie wypadek ten miał specyficzne znaczenie. Był on wyrazem tego, jak łatwo ludzie jednego narodu mogą sobie fałszywie tłumaczyć sposób życia drugiego narodu. Nawet w tak drobnym wypadku, jak... nakrycie głowy.

Ludzie na ulicach nosili buty i palta, których ciepło i wygoda górowały nad elegancją. Nie widziałem jednak nikogo źle czy biednie ubranego i nikogo niedożywionego. Sklepy pełne były ludzi kupujących artykuły gospodarstwa domowego, ubrania, meble, jedzenie.

W czasie pobytu w Moskwie specjalnie duże wrażenie zrobiła na mnie wizyta w fabryce maszyn, gdzie pokazano nam elektrycznie kontrolowaną obrabiarkę szybkoobrotową, która pod wieloma względami stanowi wielki postęp w technice przemysłu maszynowego...

Minister handlu zagranicznego Iwan Kabanow powitał nas mówiąc, iż ma nadzieję, że rozmowy nasze zapoczątkują długotrwałe stosunki handlowe między Rosją i Anglią. Zakomunikował nam, iż Rosja jest gotowa udzielić zamówień w wysokości 400 milionów funtów na dostawę tankowców, statków handlowych, maszyn i urządzeń elektrycznych.

„Rosja pragnie również zwiększyć eksport swoich towarów do Anglii — powiedział Kabanow. — Obrót handlowy pomiędzy naszymi krajami mógłby być podniesiony do wysokości 450 milionów funtów rocznie”.

To oświadczenie, złożone przez tak poważną osobistość, zrobiło na nas olbrzymie wrażenie. Dopiero teraz zrozumieliśmy, jak olbrzymie mogą być rozmiary zamówień, które mogą ulokować w Rosji przemysłowcy operujący właściwymi cenami i terminami dostaw.

Przyjęcie u Kabanowa upłynęło w miłej atmosferze. Spotkałem tam wszystkich, z którymi mieliśmy prowadzić nasze pertraktacje. Wkrótce byliśmy z nimi po imieniu. Timofiejew, wiceprzewodniczący Stankimportu, stał się dla mnie Iwanem, Klencow, wiceprzewodniczący Technipromimportu, stał się Własem. Oni nazywali mnie Jimem. „Iwanie i Własie — powiedziałem podnosząc swój kieliszek — piję za wiele lat naszej pomyślnej współpracy”. „Mamy nadzieję, iż nieraz jeszcze ujrzymy ciebie u nas, Jim” — odpowiedzieli i jednym haustem wypróżniliśmy nasze kieliszki...



Dopiero na miejscu spostrzegliśmy, że nasze „rosyjskie” czapki mają teatralny wygląd...



...i w najbliższym sklepie w Moskwie kupiliśmy sobie normalne, zimowe czapki rosyjskie

Z prawdziwą radością przyjęli robotnicy zakładów „Fielding and Platt Ltd.” w Gloucester wiadomość o otrzymaniu przez fabrykę dużego zamówienia radzieckiego na dostawę pras hydraulicznych. Teraz nie grozi im już bezrobocie



Andrea Andreen

Dr medycyny Andrea Andreen, naczelny lekarz laboratorium kliniki sztokholmskiej. Od najmłodszych lat bierze udział w działalności społecznej, aktywnie walczy o równouprawnienie kobiet. Od chwili, kiedy w roku 1930 utworzono postępowy Związek Kobiet Szwecji, Andrea Andreen bez przerwy pełni funkcję przewodniczącej. W roku 1945 została wybrana do Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Demokratycznej Federacji Kobiet.

Andrea Andreen wszystkie swe siły oddaje sprawie walki o pokój. Uczestniczy w Kongresie Obróńców Pokoju w Paryżu i Warszawie. Wspólnie z uczonymi Brazylii, Anglii, Francji i Włoch bierze udział w pracach międzynarodowej komisji dla odwołania faktów świadczących o prowadzeniu przez Amerykanów wojny bakteriologicznej w Korei. W roku 1953 na światowym Kongresie Kobiet w Kopenhadze została wybrana zastępcą przewodniczącej MDPK. W tym samym też roku — członkiem Światowej Rady Pokoju.

W grudniu ub. roku Andrea Andreen aktywna bojowniczką o pokój, odznaczona została Międzynarodową Nagrodą Stalinowską „Za utrwalenie Pokoju między narodami”.



Heinz Willmann

Urodzony w roku 1906 w rodzinie robotniczej, Heinz Willmann jest z zawodu dziennikarzem, pracował przez wiele lat w niemieckiej prasie demokratycznej. Po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech Willmann, jako znany publicysta i działacz antyfaszystowski, wtrącony zostaje do obozu koncentracyjnego Fuhlsbüttel koło Hamburga. Po zwolnieniu udaje mu się przedostać za granicę: przebywa najpierw w Pradze, potem w Paryżu i Moskwie, gdzie pracuje jako publicysta w wydawanym przez Johanna R. Bechera czasopiśmie „Internationale Literatur — Deutsche Blätter”.

W roku 1945 wraca do Niemiec, obejmując stanowisko kierownika organizacyjnego „Związku Kulturalnego dla Demokratycznego Odrodzenia Niemiec”. W roku 1950 Heinz Willmann wybrany został sekretarzem generalnym Niemieckiej Rady Pokoju i członkiem Światowej Rady Pokoju.



Drodzy Przyjaciele!

Pragnę tą drogą przesłać Wam wyrazy szczerego podziwu i radości, jakie budzi we mnie wspaniałe dzieło odbudowy dokonane wspólnym i niezmordowanym wysiłkiem mężczyzn i kobiet polskich, a także Waszej wspaniałej młodzieży — wszystkich ludzi ożywionych gorącym pragnieniem pokoju.

Z niewymownym wzruszeniem myślę o cierpieniach, jakie spadły na Warszawę — to miasto męczeńskie — o całym Waszym kraju, zamienionym przez okrutnego okupanta w cmentarzysko i gruzy.

Jestem szczęśliwa mogąc dziś przekazać Wam, w związku z nowymi, wielkimi osiągnięciami, moje najserdeczniejsze życzenia dla narodu polskiego, który buduje nowe państwo, mogące zapewnić swym obywatelom dostatnie i pomyślne życie, godne ludzi prawych i szczęśliwych.

Szczególnie serdecznie pozdrawiam kobiety polskie, które w walce o wyzwolenie ojczyzny poniosły tak niezliczone ofiary, a dziś, korzystając z pełni praw, jako matki, robotnice i obywatelki, przyczyniają się tak skutecznie do budowy nowej przyszłości, do przysparzania krajowi dóbr materialnych i kulturalnych.

Kobiety polskie, solidaryzując się z kobietami na całym świecie, mocno ujęły w swoje ręce sztandar Pokoju.

Pragnę w chwili obecnej szczególnie serdecznie pozdrowić kobiety polskie i cały naród polski przeciwstawiający się odrodzeniu sił agresji w Niemczech zachodnich. Tylko walka o pokojowe i demokratyczne Niemcy jest w stanie zapewnić pokój zarówno narodom sąsiadującym z Niemcami, jak i całej Europie.

Zjednoczona walka wszystkich kobiet i mężczyzn, ożywionych niezłomną wolą pokoju — musi być zwycięska — aby wszystkie narody i wszystkie dzieci świata mogły żyć w pokoju.

Que la lutte unie de toutes les femmes, tous les hommes de bonne volonté soit victorieuse — pour que tous les peuples, tous les enfants se puissent le bonheur de vivre en Paix!

Andrea Andreen

Każdy obrońca pokoju w Niemczech wie dziś, że przyjaźń z sąsiednim narodem polskim jest rękojmią pokojowego rozstrzygnięcia najbardziej żywotnych spraw narodu niemieckiego. Nasza walka z militarystką w Niemczech zachodnich, z układami z Bonn i Paryża — i o traktat pokojowy z Niemcami — jest jednocześnie walką o utrwalenie przyjaźni z narodem polskim, walką zmierzającą do tego, by pozyskać dla tej przyjaźni również i w Niemczech zachodnich wszystkich ludzi, miłujących pokój.

Niemiecki ruch w obronie pokoju w znacznym stopniu opiera się na wielkich osiągnięciach, dokonanych przez naród polski na drodze pokonania skutków, jakie pozostały po sobie wojna i faszyzm. Czynnymi wszystkim, co w naszej mocy, by jeszcze bardziej zacieśnić więzy przyjaźni, jakie łączą Niemiecką Republikę Demokratyczną i pokój miłujących ludzi w Niemczech zachodnich z narodem polskim.

Wielu robotników, chłopów i działaczy kulturalnych z NRD i z Niemiec zachodnich odwiedziło Polskę, wszyscy oni byli świadkami tego, jak na gruzach i rumowiskach zakwita nowe życie, jak cały naród w oparciu o prawa, które sam dla siebie stworzył, by uczynić swe życie piękniejszym, silniejszym i dostatniejszym, buduje na przyjaźni ze wszystkimi pokój miłującymi krajami swą przyszłość, opromienioną pokojem i bezpieczeństwem dla wszystkich ludzi i wszystkich narodów.

Delegaci ruchu pokoju z NRD i z Niemiec zachodnich opowiadali wiele o osiągnięciach narodu polskiego i zdobyli dla Polski wielu nowych przyjaciół.

Na Granicy Pokoju, przebiegającej przez Frankfurt nad Odrą, Niemiecki Komitet Obróńców Pokoju zbudował wieżę z Dzwonem Pokoju, by jego spiszowy głos rozbrzmiewał ponad wodami Odry wzywając do umocnienia przyjaźni pomiędzy naszymi narodami.

W czasie konferencji berlińskiej czterech ministrów spraw zagranicznych — dzwonen rozbrzmiewał codziennie, przypominając, że zagadnienie Niemiec jest jak najścisłej związane ze sprawą bezpieczeństwa ich sąsiadów oraz ze sprawą pokoju na całym świecie.

Polska i Niemcy uczyniły już wspólnie bardzo wiele dla zapewnienia pokoju. Przed naszymi narodami stoją jeszcze donioślejsze zadania.

W dziesiątą rocznicę istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej życzę Jej i wszystkim mieszkańcom Polski dalszych wspaniałych osiągnięć na drodze do stworzenia pięknej i spokojnej przyszłości. Obydwa naszym narodom życzę coraz większego powodzenia w walce o pokój dla Europy i całego świata.

Heinz Willmann

PANIE, daj nam nową komedię!

Tymi słowy stary Kraszewski zwracał się do zapieklęgo w milczeniu starszego majstra Fredry. I błagał:

— Postaw jakie chcesz warunki, żądaj czego chcesz, ale daj nam komedię!

Jak z tego widzimy, popyt w Polsce na komedie zawsze przewyższał podaż i nie narzekajmy, że z tym „artykułem” i teraz nie jest najlepiej. Tym bardziej, że sytuacja się zmienia i że współcześni nam autorzy przestają być głusi na zamówienie społeczne komedii. Tak przynajmniej wygląda, że po okresie dotkliwej, wyjąławiającej posuchy w dziedzinie twórczości komediowej, po okresie tak stanowczej dominacji sztuk historycznych, iż królowa Bona częściej na naszych scenach bywała gościem niż współczesna kobieta w stylowych pończochach — front śmiechu został odbudowany. Pod przewodnictwem Jurandoty, pod znakiem ta a a a i cich czasów dla śmiechu i satyry, ruszyły zaprawione w bólu rodzinki komediowe: Gozdawa ze Stępnem, dwaj weseli S. Skowroński i Slotwiński, podkazywały się Otwinowska wraz ze Stopkową, doskoczyło paru w pojedynkę szermierzy. Przybyły też w sukurs oddziały lekkobrońnych, teatry satyryczne, długo reprezentowane il tylko przez weteranów — Syrenę, a teraz pomnożone w samej Warszawie o Teatr Satyryków i specjalny młodzieżowy teatr satyryczny (flu, flu...) Kleks, nie licząc już Teatrów Satyryków w Krakowie, Gdyni, Lublinie i Poznaniu (a dobiega Stalinogród, a na horyzoncie dalsze miasta)...

Nie tylko więc „coś” się ruszyło, ale ruszyło z kopyta. O nawrocie przedwzrostowej posuchy mowy nie ma, autorzy piszą na przesługi, publiczność osiada się z napisem „komedia” na afiszu i szturmuje kasy teatrów. Na co trafić?

„Potrzeba nam komediopisarzy dobrych i różnych” — można by strawestować znane powiedzenie Majakowskiego o poetach. Różni są. Dobrzy?

Widziałem we Wrocławiu „komedię muzyczną” p. n. „Bosman z „Bajki” (autorzy R. Długosz i E. Maszewski). No cóż — pomysły fabularny niezły, środowisko (odrzańscy woźnicy) wybrane interesująco i dla scenopisarza świeże, postać dzielnego marynarza — Czecha, na odrzańskich wodach znajdującego polską żonę — marynarkę (czy tak można powiedzieć?) dobrze pomyślana, sympatyczna.

KOMEDIE

JAK GRZYBY PO DESZCZU

J. A. SZCZEPAŃSKI

Ale mimo tych zalet „Bosmana z „Bajki” jest to wodevil nieporadny, amatorski (i z amatorską zagraną też w Teatrze Młodego Widza we Wrocławiu) — o wiele słabszy niż znany z wielu scen wodewil Szumańskiej i Łusia „Tor przeszkód”.

Widziałem też w Krakowie „Mieszkanie nr 3” Maril Mazur, „komedię z niedawnej przeszłości”, nie wiem czemu z „przeszłości”, skoro obraca się wokół urzędu kwaterunkowego i spraw mieszkaniowych. Autorka szybko przesunęła się od tematyki historycznej (w Krakowie grana jest równocześnie jej sztuka „W Stwosowym domu”) do komedii — współczesnej, ale nakazu kwaterunkowego dla całego mieszkania nie zdobyła, tchu starczyło jej tylko na wstępny akt utworu, będący czymś w rodzaju zamkniętego w sobie skeczu na temat biurokratycznej i kumoterskiej, nieuczciwej pracy urzędu mieszkaniowego. Z tej racji „Życie Literackie” uniosło się gniewem: nie wolno stroić żartów z tak smutnych spraw jak kłopoty mieszkaniowe! To chyba przesada (jak sądzicie?), ale faktem jest, że autorka zmarnowała temat i ograniczyła się do jeszcze jednej wersji „strasznych mieszkan” i że powstała dziesiąta woda po Zapolskiej, utwór, wobec którego „Pani Dulska na rozdrożu” Sterna jest ekstraktem komedii.

A w Warszawie pokazano na scenie „Baśkę” Jana Stefczyka, też podług autorskiego określenia „komedia”, a w istocie utwór z kategorii „sztuk” (ni ples ni wydra), bo po prawdziw rodzajowy groch z kapustą. Autor, doświadczony wydawca i przedni żartowniś,

zamierzył może dać w „Baśce” parodię niedawnych schematów komediowych, wszystkich kolizji i deklaracyjności? Niestety, nic podobnego. Rozliczne wątki dramatyczne i poważne w sztuce świadczą, że mamy do czynienia po prostu z nieporozumieniem. A przecież zaczęło się jako tako, od dobrego pomysłu, zręcznego zawiązania dramatycznego, paru żywych postaci i niezłych sytuacji. Cóż, kiedy skończyło się na mimowolnej grotesce.

A więc sytuacja na froncie śmiechu scenicznego jednak niedobra, niepokojąca, świadcząca o jakimś cofaniu się i niedawaniu sobie rady z materiałem?

Wbrew pozorom — wcale nie jest źle. Gdyż obok niewypałów — bywają niezłe odstrzały, a nawet celne trafienia. Powodzenie „Takich czasów” Jurandoty, odbywających triumfalne tournée po różnych teatralnych miastach Polski, jest sumiennie zapracowanym, zasłużonym sukcesem. Komedia dwu żon, które zabrały głos — Ewy Otwinowskiej i Wincentyny Stopkowej „Ryby nie mają głosu” — jest również wesoła jak z satyrycznym sensem, i szkoda, że dotychczas nie weszła w próby w żadnym teatrze. Wolno też przypuszczać, że gdy Grodzieńska i Miltner (autorzy dobrej, choć biurokratycznie stłamszonej komedii „Papsy”), że gdy Gozdawa i Stępień (wiele się nauczyli od czasu popularnego „Wodevillu warszawskiego”)...

Wyraźnie usprawnienie komediowego warsztatu wykazują też w nowej komediofarsie „Imieniny pana dyrektora” Zdzisław Skowroński i Józef Slotwiński. Ich dawniejszy wo-

dewil „Dwa tygodnie w Raju” miał jako gwóźdź satyry i humoru piosenkę o rodzajach chrapania. Obecne „Imieniny” to zręcznie napisana, o komediowym zacieciu satyra na biurokrację, kacykostwo i inne urzędnicze grzechy, utwór wyposażony w dobre pomysły i sytuacje i zasługujący na poklask, którym go darzy rozbawiony widz. Szkoda, że teatr robi wiele, aby tę lekką komedię sprowadzić do poziomu niewybrednej, grubo sztywnej krotkowili. Tadeusz Chmielewski wyposażony jest w fartnerowską siłę komiczną, ale powinien być pamiętać, że na „Imieninach” pana dyrektora” wznosi się okrzyk przeclwony dewizle „Pan naczelnik to ja!” Dodajmy, że naciskanie najgrubszych farsowych pedałów tak samo nie wychodzi na korzyść „Mieszkanu nr 3” w Starym Teatrze (poza dobrą grą Maril Bednarskiej) i że trudno by się również entuzjastomować na przykład kalskim przedstawieniem (cytuje, ponieważ widziałem) niefrasobliwej, ale zawierającej pewien teatralny materiał komedijki Maril Czanerle „Palczyna”. A więc zjawisko dość powszechne, przed którym teatry przestrzec należy.

Tylko Teatr Domu Wojska Polskiego w Warszawie starał się przyjąć z pomocą „Baśkę” (reżyser Władysław Krasnowiecki) — bo to i społeczne akcenty utworu próbowano wydobyć, i parę dobrych ról zademonstrowano (Zbikowska, Buczyńska, Stępniewna, Józef Kondrat, Paluszkiwicz), i w osobie Małgorzaty Burek — Leśniewskiej pokazano aktorkę utalentowaną, która przemianą tytułowej postaci sztuki stara się lepiej niż temu podołał autor unaooczyć widzowi; po tym „Pigmilionie miasteczka Kamiennego” zagranam zapewne kiedyś Leśniewska Elżbę z shawowskiego „Pigmalliona”, i zagra, że ho! Nie teatru więc tym razem było winą, iż wysiłki zeszły na marne.

Komedia jest w teatrze rzeczą niezwykle serio — to już powiedziało wielu. Droga od „Millonowego jajka” do „Imienin pana dyrektora”, droga od „Penelopy” do „Takich czasów” jest trudna i długa. A jednak ją przebyto. Niech więc nikogo nadmiernie nie przestrasza upadek „Baśki” czy brakorobne „Mieszkania nr 3”. Widz też przestaje być pobłażliwy. Oczywiście, teraz potrzebni nam są jeszcze rodzimi Gogolowie i Szchedrinowie, ale Gogolowie i Szchedrinowie nie rodzą się nigdy jak grzyby po deszczu, a nam i grzybów potrzeba, jeśli są smaczne i posilne.



Panowie za biurkami ministerialnymi spoglądali obojętnie na arkusze statystyk: przerażająca śmiertelność dzieci chłopskich? To nic, i tak jest na wsi siedem milionów zbędnych par rąk... Dziś miliony chłopów, pamiętających owe czasy, porównują je z obecnym stanem opieki zdrowotnej państwa. Na takich właśnie porównaniach i wyciągniętych z nich wnioskach opiera się zaufanie naszego narodu do twórczych możliwości ludowego państwa.

Nr 15

5 — 11 kwietnia 1954

Obrazki ze wsi

Z POWIATU MŁAWSKIEGO

Brak higieny na wsi. — Choroby i ich leczenie. — Lekarze i brak szpitali. — Brak dentystów na wsi. — Brak higieny i opieki lekarskiej a kultura na wsi.

Jeżeli higiena jest jedną z największych zdobyczy kultury XX wieku, to brak jej zupełny wśród polskiego ludu staje się najpoważniejszym przeciwko niej grzechem we wsi naszej.

W nędznych chatkach gnieźdzą się liczne rodziny, żyjące w ciasnocie i oszczędności posuniętej do minimalnego używania mydła, a nawet i wody, po której trzeba nieraz chodźć z wiaderek kilka kroków, jako że nie w każdym podwórku znajduje się studnia.

Dwa łóżka i nędzna jakaś przyczółka służą za postanie i spoczy-

nek nocny dla ośmiu osób, licząc w tym i dzieci, których zwykle przypada troje przy osobie starszej na łóżku. A że mycie się wcale nie jest ulubionym zabiegiem naszych chłopów, a mydło przy myciu odgrywa tylko poważną rolę w niedzielę, więc można sobie wyobrazić, jaki zaduch panuje w izbie nigdy niewietrzanej, której okienka są pozastawiane doniczkami „ziela“, a drzwi szczelnie zamykane w obawie zimna. Bielizna na zmianę jest bardzo mało, więc się ją pierze wyjątkowo rzadko — ciepłych trykotów nie zmienia się przez cały sezon zimowy, bo jako rzeczy droższe każdy posiada tylko po jednym egzemplarzu... A przecież pod ubraniem brudu nie widać!... Nie więc dziwnego, gdy nie chwalą swoją oszczędnością baby, stwierdzając, że im wystarcza ćwierćkilowy kawałek mydła dla całej rodziny na miesiąc.

W tych warunkach należy poczytywać za cud boski, że we wsiach nie panują nagminnie choroby, że epidemie nie zabierają nam dużej części ludności i że liczba śmiertelności dzieci jest jednak mniejsza od ich urodzin.

Warunki, w jakich choruje człowiek na wsi, są straszne. Złożony niemocą lub trawiony gorączką spać musi nocą w jednym łóżku ze swoimi zwykłymi towarzyszami noclegu, a cały dzień jest otoczony gromadką hałasujących dzieci, przepełniony dymem i zapachami czynnej stale kuchni, a co najgorsze: leczony troskliwością wszystkich bab „znających się“ we wsi!!!

Każą biedakowi dziesięć razy na dzień schodzić głową na dół z łóżka, co stanowczo odciąża od niego gorączkę; wyciera ją go maściami własnego wyrobu i pomysł; dają do picia wodę z popiołu, a zaraz po niej mleko zalane roztopioną słoniną. A zdrowy polski organizm wytrzymało wszystko i zamiast umrzeć natychmiast, nieraz choroby wstaje i chwiejącym się z osłabienia krokiem wychodzi na dwór... wdycha powietrze szerokich pól i do płuc bierze zdrowie!

Szpital jest tylko jeden na cały duży powiat mławski. Mało ludzi z niego korzysta, mało go ogląda. Brak małych szpitalików we wsiach, brak racjonalnej opieki lekarskiej rzuca naszych chłopów na pastwę znachorek, zabobonów i cofa kulturę o setki lat. Brak tanich akuserek sprowadza niezliczone komplikacje chorobowe u wiejskich kobiet, które dzieci na świat wydają pod kierunkiem

baby, podchodzącej do ran z brudnymi rękami i kładącej noworodka na swym brudnym fartuchu.

Najbardziej rozpowszechniona dolegliwość ludzka, którą jest choroba zębów, także nie ma opieki na wsi.

Brak wszelkiej na wsi higieny, brak opieki lekarskiej na każdym polu, brak szpitali i brak dentystycznej opieki cofa tak bardzo cywilizację polską, wobec jej rozwoju u innych narodów, że dopóki się nie naprawi tych stosunków ogromnej części ludności naszej, dopóty nie możemy w ogóle mówić o swojej kulturze, a w szczególności o krzewieniu kultury we wsi polskiej.

„Kurier Warszawski“, 1 lutego 1937 r.

„RADOŚĆ ŻYCIA“ 1929 NA PODHALU

W Grywałdzie (powiat Nowy Targ) panuje tyfus brzuszny od paru miesięcy. Tyfus brzuszny, czytają: głodowy! Od 1 września br. szkoła tamtejsza zamknięta z powodu epidemii.

„Radość życia“... jakiej dawno nie było.

„Piast“, Nr 50, 1929 r.

Oszczędność na chłopskiej skórze

1939

Doskonałej zgodności między teorią a praktyką, między ideałem a jego urzeczywistnieniem, nie osiągniemy zapewne nigdy. Wydaje się jednak, że często zachodzi zbyt wielkie rozwarcie między szumnie rzucanymi hasłami a ich jakżeż dziwną realizacją!

Mam w tej chwili na myśli sprawę opieki zdrowotnej nad wsią, sprawę pielęgniarstwa. Czy i jak bardzo opieka zdrowotna jest wsi potrzebna, pisać zbędne. Zresztą ostatnio dużo się mówiło o oplakanych pod tym względem stosunkach na naszej wsi, o braku szpitali, lekarzy, środków, o zabobonach, uprzedzeniach, znachorstwie itp. Potrzeby tej pracy, tej walki wydanej na całym froncie oplakany warunkom zdrowotnym naszej wsi, rozumiemo u nas od dawna i rozpoczęto ją rozumnie i skutecznie, choć oczywiście w małej jak dotąd skali.

Jednym z najważniejszych środków w tej walce są tzw. ośrodki zdrowia, zakładane po wsiach lub małych miasteczkach. Taki ośrodek to zazwyczaj wykształcona fachowa pielęgniarka. Jakiej jej zadanie? Pomoc ordynującemu lekarzowi, dopilnowanie sumiennego i dokładnego wykonywania jego przepisów, przeprowadzenie w razie potrzeby dłuższych, przez lekarza zaordynowanych kuracji, pouczanie ludności o różnych sprawach związanych z higieną, czystością, aseptyką, pielęgnacją niemowląt. Jest to walka z epidemiami, z chorobami społecznymi, jest to prowadzenie po domach tzw. „wywiadów“.

Ale od jakiegoś czasu zaczyna się odzywać głosy, że naukowy cenzus pielęgniarstwa jest za wysoki (!), że szkolenie ich jest zbyt kosztowne, że takie pielęgniarki są za drogie do pracy na wsi, że nie ma na nie pieniędzy w budżetach samorządowych. Czynniki pewne proponują, aby zakładać szkoły pielęgniarstwa zawodowe na poziomie niższym. W szkołach tych mają się kształcić dziewczęta wiejskie po skończeniu szkoły ludowej, a po tym kursie wracać na wieś, aby tam oddawać się pracy nad uzdrowieniem jej warunków zdrowotnych.

Ci, co zrodzili projekt tak praktycznej reformy pielęgniarstwa, uwzględnili wszystko: i koszty, i oszczędność, i zajęcie dla bezrobotnych dziewcząt wiejskich, nie pomyśleli tylko o tym, czy dla chorego, który ma być pielęgnowany, taka „poprawa“ byłaby korzystna, i czy wyjdzie ta reforma na dobro wsi, czy praca, którą mają po ośrodkach wykonywać pielęgniarki, naprawdę będzie wykonana.

Zresztą człowiek, zdumiony tą przedziwną oszczędnością, która ma się odbyć kosztem wsi, kosztem jej zdrowotności, zapytuje się, dlaczego tylko ta „oszczędność“?

Dlaczego znowu wieś ma być upośledzona w imię złe zrozumianej oszczędności i skrzywdzona na tak ważnym, tak doniosłym odcinku jak jej zdrowie?

„Czas“, 5 sierpnia 1939 r.

Zarazy są nagminnym i nieustającym zjawiskiem

1939

Ankieta o czystości na wsi

W swoim czasie ogłosiłam w „Bluszczu“ artykuł z prośbą o nadesłanie zdań czytelników w sprawie niechlujstwa na wsi. Czy uważają, że słusznym jest zajęcie się już nareszcie i tym niemiłym problemem, czy zaiste „trudną“ sprawą, czy też może jest to pesymizm z mojej strony i przesada?

Nie miałam zdania, by tak rzec, murowanego w tej sprawie przed ogłoszeniem w „Bluszczu“ owego artykułu. Dziś — mam. Utwierdziłam się, niestety, w pierwotnych moich spostrzeżeniach — mianowicie: że wieś nasza jest niedopuszczalnie i upokarzająco niechlujna — dzięki odpowiedziami, jakie nadeszły. Mogę śmiało powiedzieć, że nadeszły ze wszystkich stron (z wyjątkiem Poznańskiego, które też w poniższych rozważaniach, w braku materiału, pomijam) i brzmiały mniej więcej — i to najgorsze!... — jednolicie.

Dziś mamy obowiązek jeszcze gromadzić materiały i zbierać fakty, chociażby dlatego, aby przedstawić je władzom, pieniądze społeczne w ręku dźlającym. Pieniądz ten jest tak mały, tak mały, tak głączy w obrzydliwej paszczy rekina, który się zowie: potrzeba — że same władze muszą mieć na jego wydanie grube uzasadnienie.

Tak oto u nas jest! W brudnych chatkach — brudne dzieci na podłodze zaśmieconej przez drob i mniejszy przychówek gospodarski — a poza tym brudni mężczyźni i brudne kobiety. Rzadko, w drodze wyjątku, zdarzają się rodziny czy typy uznające względną czystość! I jak to zmienić?

Spotkałam na wieś jeden do trzech domów, gdzie do mycia jest osobna miska; poza tym posługują się tą, której używają również do jedzenia. Wodę się czerpie do obmycia rąk i twarzy nieraz z szaflika do zmywania naczyń. Największą pokutą dla mężczyzny i nawet dla dziewcząt jest mycie nóg: w lecie wszystko odmięka, w zimie — zasycha. Nie częściej się też częściej, niż raz na tydzień, do kościoła. Nic dziwnego, że w głowie i ubraniu legnie się co niemiara pasożytów. Niedziela jest w części przeznaczona na ich wytopienie, co nie napawa nikogo zbytnim skrupowaniem, gdyż odbywa się przeważnie przed progiem domostwa: matki „iskają“ dzieci, a czasem — na odwrót. Zanieczyszczenie głów, ubrań i izb parazytami jest straszne. Izbę zamiatają się pośrodku, a myje się wyjątkowo — chyba, że wielkie święto, czy też ksiądz przychodzi do chorego lub po koledzie. Okna na zimę są zabite od chłodu, a na lato — zamykane od much: za ledwie postępowi siedzą na jajach kokosze i gęsi oraz chowa się drob, którego nie dają do chlewa z obawy, aby go nie zagryzły szczury. Je się niechlujnie. Kobiety gotują w brudnych garnkach, brudnymi rekoma, wprost nieraz od gnoju. Trudno by wymienić, ale łatwo zgadnąć, do jakich potrzeb używa się nieraz szaflika od zmywania naczyń, zwłaszcza dopóki dzieci są małe!

Zarazy są nagminnym i nieustającym zjawiskiem. Związkiem dzieci mra. Chłop przyjmuje to filozoficznie. „Mra dzieci po innych parafach, to i moje umarło“. Niedorozwój fizyczny starszej ludności także grozi skarceniem rasy. Dobrobytu i oświaty! Oto są pierwsze nasze wymogi! Wtedy muszą zniknąć rażące i upokarzające zjawiska niekulturalności i niechlujstwa, jakich pełna jest dotąd nasza polska wieś i miasteczka.

„Wiś i Państwo“ Nr 6, 1939 r.

„Bluszc“, Nr 32, 1939 r.

Klęska szpitalnictwa w Polsce

1937

Kuracja szpitalna już nawet w najskromniej urządzonej szpitalu nie może być zbyt tania, jeżeli sobie uprzytomnimy, że chory w szpitalu otrzymuje to, co otrzymywałby w pensjonacie, a oprócz tego poradę lekarską lub zabieg chirurgiczny, lekarstwa i specjalną staranną obsługę. Przeciętny pobyt chorego w szpitalu trwa około 3 tygodni, w poszczególnych wypadkach kuracja szpitalna może trwać nawet i parę miesięcy. Czy niezamożny chory (przeciętny rzemieślnik, rolnik, wreszcie urzędnik) może się zdobyć na taki wydatek, zwłaszcza, że jest on przez ten czas niezdolny do pracy i nie zarobić nie może?

Wobec takiego stanu rzeczy nie dziwi nas osobliwe zjawisko, jakie obserwujemy w naszych szpitalach. W naszych szpitalach, których na ogół mamy za mało, często dużo łóżek stoi pustych, a spośród chorych szpitalnych połowę albo i więcej stanowią chorzy leczeni na koszt ubezpieczalni. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że do ubezpieczalni należy zaledwie jakaś jedna ósma, jedna dziesiąta część ludności, (około 4 miliony już z rodzinami), to staje się oczywistą rzeczą, że większość naszej ludności ze szpitali nie korzysta, bo chorzy nie są w stanie ponieść wydatków szpitalnych.

„Kurier Warszawski“, 13 marca 1937

Zdemolowali dom znachorki

1937

W Lipnicy koło Rohatyna cieszyła się duża „praktyka“ znachorka Anna Gomółka. Do pacjentów jej należał Michał Hołub, któremu aplikowała rozmaite leki, pobierając wygórowane opłaty. Chory jednak czuł się coraz gorzej i wreszcie zaważwał lekarza, który stwierdził poważne zaniechanie choroby wskutek stosowania „leków“ znachorki. Rodzina Hołuba wniosła doniesienie na policję, która aresztowała Gomółkę. Podczas rewizji okazało się, że generalnym „lekiem“ stosowanym przez Gomółkę był wywar z siana, zmieszany z szafliwą i rumiankiem.

Gdy ludność dowiedziała się o sposobie leczenia Gomółkowej, zdemolowała jej dom.

„Ilustrowany Kurjer Codzienny“ 18 października 1937 r.

MOŻNA BY O TYM PISAĆ TOMY...

NIE notowały tego żadne oficjalne statystyki, nie interesowali się tym ludzie odpowiedzialni za ten stan rzeczy, ale fakt pozostawał faktem: Polska przed wojną zajmowała ostatnie miejsce w Europie jeśli idzie o liczbę lekarzy, przypadającą na 100 tys. ludności wiejskiej.

Ogólna ilość lekarzy czynnych w kraju, była wyraźnie niedostateczna. Ale szczególnie dyskryminowana była polska wieś. Jaskrawy przykład: w roku 1938 w mieście Łodzi było 14 razy więcej lekarzy, niż we wszystkich wsiach województwa łódzkiego. A oto inny przykład: według oceny przedwojennych specjalistów co najmniej dwie trzecie wypadków przedwczesnej śmierci na wsi było wynikiem braku opieki lekarskiej.

Służba zdrowia Polski Ludowej musiała więc — szczególnie na terenie wiejskim — nadrobić w niezwykle krótkim czasie ogromne braki, pogłębione jeszcze stratami z okresu wojny (80% zniszczonych szpitali!).

O osiągnięciach naszych w dziedzinie ochrony zdrowia ludności wiejskiej można pisać tomy — robią to już zresztą fachowcy i literaci. Ale tę przemianę zilustruje w pewnej mierze osiem poniższych lakonicznych zestawień.

1. KŁOPOTY PEWNEJ KLINIKI

W ROKU ubiegłym klinika dermatologiczna Akademii Medycznej w Warszawie poszukiwała dla demonstrowania studentom człowieka zarażonego świeżo kłą. Szukano, szukano — i w końcu studenci musieli ograniczyć się do tablic i preparatów: nie udało się potrzebnego obiektu znaleźć.

A przecież przed wojną istniało we wsi polskiej kilka stałych ognisk kł, obejmujących po kilka powiatów. A przecież na wsi polskiej zanotowano w roku 1931 trzy razy więcej nowych zachorowań niż w roku 1925...

Sukcesy naszej „akcji W” są tylko fragmentem wielkiego zwycięstwa, osiągniętego na wsi na froncie walki z chorobami zakaźnymi i wenerycznymi. Już w roku 1948/49 umieralność na choroby zakaźne była na wsi o 52,4% niższa niż w r. 1939. Co to oznacza — powie każdy lekarz, który wie, z jakim wysiłkiem zdobywa się każdy procent.

2. NIE 68, LECZ TYSIĄC

CHŁOP nie zawsze może udać się do lekarza w mieście. O wiele łatwiej mu korzystać z wiejskiego ośrodka

zdrowia. Takich wiejskich ośrodków powstało w międzywojennym dwudziestolecu 68 (przeciętnie 3—4 rocznie), a w ciągu 9 lat władzy ludowej — ponad tysiąc (przeciętnie 110 rocznie). A nie zapominajmy, że ludność wsi zmniejszyła się w tym okresie dość poważnie.

Sieć wiejskich ośrodków zdrowia w dalszym ciągu rośnie i już pod koniec roku przyszłego osiągnie stan, który zapewni podstawową pomoc lekarską całej ludności wiejskiej.

3. W INTERESIE NAJMŁODSZYCH

DUŻO już o tym pisano, w jakich warunkach chłopki polskie rodziły dzieci. W przedwojennych publikacjach nie znajdziemy w ogóle takich określeń, jak „izba porodowa” czy „położna gminna”. W wielu powiatach umierało na wsi co trzecie niemowlę.

Już przed trzema laty izby porodowe i położne gminne odebrały ponad 55% wszystkich porodów na wsi. Poza tym znaczny odsetek kobiet wiejskich odbywa porody w szpitalach. W najbliższych latach wszystkie kobiety wiejskie będą rodziły w warunkach odpowiadających wymogom higieny i pod właściwą opieką.

4. SZPITALA

W WYDANYCH przed wojną „Pamiętnikach lekarzy” można przeczytać wstrząsające opisy typowych wówczas wypadków: brak możliwości umieszczenia chorych, głównie z terenu wsi, w szpitalu, powodował pogorszenie, komplikacje, nieraz śmierć. Obecnie jest w Polsce cztery razy mniej powiatów bez szpitali niż przed wojną. Na każdy tysiąc mieszkańców przypada obecnie ponad 5 miejsc w szpitalach (przed wojną — 2). Nieznane dawniej u nas szpitale wiejskie liczą obecnie blisko 6.000 łóżek.

5. WĄŻ I SANATORIUM

SPOŚRÓD dwóch nie istniejących rzeczy — węży morskich i chłopów w sanatoriach — prasa przedwojenna pisała tylko o tych pierwszych. Być może dlatego, że łatwiej było wtedy uwierzyć w węża morskiego...

Już w roku 1948 chłopci stanowili 4,1% kuracjuszy, leczących się w sanatoriach i uzdrowiskach na koszt państwa. Obecnie co roku kilkanaście tysięcy chłopów przebywa na leczeniu w sanatoriach i uzdrowiskach.

Przynosi to korzyści nie tylko samym pacjentom. Chłopi-ku-

racjusze z reguły przenoszą na teren rodzinnych wsi nabyte w sanatorium zasady higieny, co wpływa na podniesienie poziomu higieny mas chłopskich.

6. TO JUŻ NIE FILANTROPIA

NIESZCZĘŚLIWE wypadki i nagłe zachorowania zdarzają się i w mieście i na wsi. Przed wojną było w Polsce tylko 11 stacji Pogotowia (utrzymywanych z reguły przez filantropię) i znajdowały się one tylko w wielkich miastach.

Dziś istnieje na terenie kraju ponad 250 państwowych stacji Pogotowia; obejmują one swoim zasięgiem 90% powierzchni kraju. W najbliższym czasie stacje Pogotowia Ratunkowego będą w stanie dotrzeć do wszystkich bez wyjątku wsi i osiedli.

7. ZDROWIE NA KÓŁKACH

CHŁOPI lekceważą zwykle choroby zębów. To stwierdzenie skłoniło służbę zdrowia do wprowadzenia nowej formy docierania dentystów na wieś: w każdym województwie istnieje kilka zmotoryzowanych ambulansów dentystycznych, które obsługują wszystkie wsie województwa.

Niezależnie od tego docierają na wieś lekarze i dentyści, wchodzący w skład ekip łączności miasta ze wsią. Większe szpitale, kliniki i uczelnie medyczne wysłały już wiele zespołów, składających się niemal wyłącznie ze specjalistów różnych dziedzin medycyny. Akcja ta, trudna do ujęcia w ścisłą ewidencję, przyczynia się także w dużym stopniu do podniesienia zdrowotności wsi.

8. ILE TO BĘDZIE KOSZTOWAŁO?

PYTANIA powyższego w wielu wypadkach leczący się chłopci wcale nie muszą zadawać. Dla ludności wiejskiej, nie korzystającej z ubezpieczalni, całkowicie bezpłatne jest leczenie chorób zakaźnych, gruźlicy, chorób wenerycznych, umysłowych. Świadczenia w poradniach przeciwgruźliczych, poradniach matki i dziecka — są dla chłopów bezpłatne. Chłopi średnio i małorolni korzystają niejednokrotnie z bezpłatnego leczenia w sanatoriach i prewentoriach, a w leczeniu szpitalnym i uzdrowiskowym korzystają z poważnych ulg.

Możliwości te wynikają ze zwiększonych wydatków państwa na cele ochrony zdrowia. W przedwojennym pięcioleciu (1930—1935) wydatki na ten cel zmalały do połowy. W powojennym pięcioleciu (1946—51) — wzrosły siedemnastokrotnie.



Taka „zabawa lalkami” jest pożyteczna: absolwentki Szkoły Fielegniarstwa Dziecięcego dadzą sobie potem radę w wiejskich ośrodkach zdrowia i izbach porodowych.



Nowy szpital w Makowie Podhalańskim podobnie jak dziesiątki innych, zbudowanych na terenach wiejskich, obsługuje w głównej mierze pacjentów — chłopów.



Wiejski Ośrodek Zdrowia w Piechomicach na Dolnym Śląsku ma szereg nowoczesnie wyposażonych gabinetów specjalistycznych, jak np. (na zdjęciu) gabinet dentystyczny



Ośrodki zdrowia są z reguły zaopatrzone w nowoczesny sprzęt, pochodzący w coraz większej mierze z fabryk krajowych.



W małych Jurowcach (woj. rzeszowskie) najmłodszy obywatel rosną, rozwijają się pod czujną, fachową opieką.



Trzej główni „bohaterowie” afery Montesi (od lewej do prawej): fałszywy markiz Ugo Montagna — oszust, stręczyciel i handlarz narkotykami, Piero Piccioni, syn ministra spraw zagranicznych, bliski przyjaciel rzekomego markiza, oraz Tommaso Pavone, naczelnik policji włoskiej, który przez długi czas tuszował przestępstwa tej szajki aferzystów

AFERA MONTESI

KORRESPONDENCJA
własna
„ŚWIATA” Z WŁOCH

11 KWIECZNIA 1953 roku na plaży w Tor Vaianica, o kilka kilometrów odległej od Rzymu, znaleziono zwłoki młodej kobiety. Po przeprowadzeniu śledztwa policja ogłosiła oficjalny komunikat, dotyczący tajemniczego zgonu Wilmy Montesi, bo tak nazywała się nieszczęśliwa. Według oświadczenia policji, Montesi miała udać się 9 kwietnia po południu na plażę w Ostii, gdyż cierpiała rzekomo na egzeme nóg i ktoś po-

radził jej moczenie stóp w morskiej wodzie. W trakcie dokonywania tej czynności Montesi jakoby zasłabła i przewróciwszy się w wodzie — zatonała. Tak brzmiał oficjalny komunikat policyjny.

Jednakże było w tej wersji wiele twierdzeń nasuwających poważne wątpliwości. Przede wszystkim, dlaczego ciało Wilmy Montesi, która wpadła do wody na plaży w Ostii, znaleziono w Tor Vaianica, a więc w miejscowości odległej o dwadzieścia kilometrów? Zainteresowani tajemniczymi okolicznościami tej sprawy dziennikarze „na własną rękę” rozpoczęli dochodzenie i w krótkim czasie doszli do zaskakujących wyników. Okoliczni mieszkańcy twierdzili na przykład, że na kilka dni przed tragicznym odkryciem widzieli Wilmę Montesi w czarnej limuzynie, na drodze pomiędzy Ostią a Tor Vaianica. Któż był właścicielem samochodu?

Po przeprowadzeniu szeregu wywiadów redaktor naczelny tygodnika „Attualita” — Silvano Muto — opublikował artykuł, w którym stwierdził, że Wilma Montesi zmarła wskutek nadużycia narkotyków podczas orgii, zorganizowanej przez kilku zamężnych ludzi w majątku położonym nad morzem. Ciało porzucono następnie na plaży. Właścicielem czarnej limuzyny jest niejaki Piero Morgan. Okazało się równocześnie, że pod tym pseudonimem ukrywa się nie kto inny, jak Piero Piccioni, syn Attalia Piccioni, ministra spraw zagranicznych i jednego z najbardziej wpływowych przywódców partii chrześcijańsko-demokratycznej.

Redaktor Muto oskarżony został o „rozsywanie fałszywych i tendencyjnych wiadomości”.

Wszystko to zdarzyło się przed rokiem. W ciągu tego roku sprawa Wilmy Montesi niejednokrotnie przyciągała uwagę opinii publicznej, właśnie przy okazji procesu redaktora Muto. Sprawa Montesi przerodziła się w „afere”, którą w sensie rozgłosu porównać można tylko z procesem Dreyfusa. Od dwu miesięcy dzienniki włoskie zamieszczają na ten temat wielkie artykuły na czołowych kolumnach.

Już w pierwszych dniach procesu Muto na widowni pojawiła się tajemnicza postać markiza Ugo Montagna di San Bartolomeo. Poszukiwania reporterów wykazały, że Montagna jest właścicielem zameczku myśliwskiego w Capocotta, miejscowości położonej pomiędzy Ostią a Tor Vaianica. W zamku tym odbywały się co pewien czas przyjęcia, w których uczestniczyły inne znane osobistości, a wśród nich Piero Piccioni. Tutaj właśnie zmarła Wilma Montesi.

Urzędy policyjne odmówiły udzielenia jakichkolwiek informacji o Piero Piccioni. I oto wybuchła bomba. Niejaka Anna Maria Moneta Caglio oświadczyła publicznie, że jest skłonna złożyć przed sądem zeznania dotyczące przyczyny śmierci Wilmy Montesi. Z wielu stron próbowano wywrzeć na nią presję; także i duchowni próbowali odwieść ją od złożenia zeznań. Caglio nie dała się jednak zastraszyć i zgłosiła się do sądu. Zeznania jej okazały się rewelacyjne.

Oświadczyła ona, że od dłuższego czasu była przyjaciółką Ugo Montagna. 29 kwietnia, kiedy na szpaltach dzienników pojawiło się nazwisko Piero Piccioni, on sam przeprowadził rozmowę telefoniczną z markizem Montagna, przy której obecna była Caglio. W trakcie rozmowy Montagna okazał silne wzburzenie. Wieczorem powiedział swej przyjaciółce, że udaje się do naczelnika policji włoskiej. Istotnie poszedł tam, spotkawszy się uprzednio, w pobliżu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z Piero Piccioni. Obaj spędzili około godziny w gmachu Ministerstwa. Po po-

wrocie markiza Anna Caglio spytała: „Cóż tam robisz?” Odpowiedział: „Zrobiłem z tym porządek”. Na to kobieta odparła: „Postąpiłeś bardzo źle, bo chociaż Piero jest synem ministra, powinien odpowiadać za to, co zrobił”.

I więcej jeszcze: Caglio ujawniła, że w swoim czasie wszystkie te zeznania złożyła już przed Prokuratorem Republiki. Prokurator Sigurani powiedział wówczas: „Po cóż się pani miesza do tych wszystkich spraw? Niech pani to zosta-

Zdjęcie ze ślubu Alfonsa Spataro, syna wicesekretarza partii chadeckiej (i ojciec i syn zamieszani są w aferę Montesi)



Wilma Montesi — ofiara zwyrodniałych narkomanów. Ciało jej znaleziono w ub. r. na plaży w Tor Vaianica. Zmarła ona podczas orgii w zamku markiza Montagna

wi". I zeznań tych nie wykorzystał. Był to jaskrawy dowód, że w sprawie Montesi zamieszani są wysocy dygnitarze państwowi. Prasa podkreślała, że odpowiedzialność za to powinien ponieść doktor Tommaso Pavone, naczelnik policji. Doktor Pavone milczał.

A oto nowa sensacja. Adwokaci Silvana Muto odkryli, że w aktach procesu spoczywa raport policyjny, dotyczący osoby markiza Montagna. Raportu tego nie zamierzano publikować, a kiedy wreszcie został ogłoszony, okazało się, że Montagna nie jest w rzeczywistości żadnym markizem, ale zwykłym przestępcą, kilkakrotnie karanym przez sądy. Wyszło także na jaw, że w okresie rządów Mussoliniego trudnił się stręceniem kobiet faszystowskim dygnitarzom. Później ten sam proceder uprawiał dla hitlerowców, a po wojnie dla przedstawicieli armii amerykańskiej. „Obecnie — brzmi ostatnie słowa raportu — Montagna utrzymuje stosunki z wysoko postawionymi osobistościami” partii chrześcijańsko-demokratycznej. W raporcie wymieniono nawet kilka nazwisk: oczywiście Piera Piccioni, dalej osobistego lekarza papieża — doktora Galeazzi Lisi, deputowanego Girolamo Bellavista, prefekta policji Mastrobuono i wielu innych. W sprawie lekarza papieskiego raport stwierdza, że był on zamieszany w niejedną ciemną aferę Montagni. Wreszcie autor raportu daje do zrozumienia, że w Capocotta odbywają się wyuzdane orgie i że posiadłość ta jest jednocześnie ośrodkiem nielegalnego handlu narkotykami.

Wszystkie te sprawy były więc policji dobrze znane. Naczelnik policji włoskiej, Pavone, podał się do dymisji, gdy wyszło na jaw, że pozostawał w bardzo bliskich stosunkach z Montagną.

Lecz na tym nie kończą się niespodzianki. Powoli, jedno za drugim, wszystkie łądactwa zostały ujawnione. I tak okazało się, że Montagna, który wydawał na swoją przyjaźniółkę 500.000 lirów miesięcznie, w skarbie państwa miał zgłoszony dochód miesięczny w wysokości zaledwie 50.000 lirów. Okazało się dalej, że wykorzystując swoje wpływy znajomości potrafił on wile, za którą zapłacił 2 miliony lirów, sprzedać natychmiast za 90 milionów. Okazało się, że w ciemnych interesach Montagni uczestniczył adwokat Alfonso Spataro, syn Giuseppe Spataro, wicesekretarza partii chadeckiej. Okazało się na koniec, że istniały liczne powiązania pomiędzy Montagną a samym Giuseppe Spataro, i że Montagna był świadkiem na ślubie Alfonsa Spataro. Drugim świadkiem był obecny premier Mario Scelba.

Jeden skandal zazębiał się o drugi, był to bowiem cały łańcuch przestępstw: handel narkotykami, spekulacje finansowe, łapówki (Montagna „podarował” dziesięciopokojowy apartament naczelnikowi policji, siedem milionów lirów



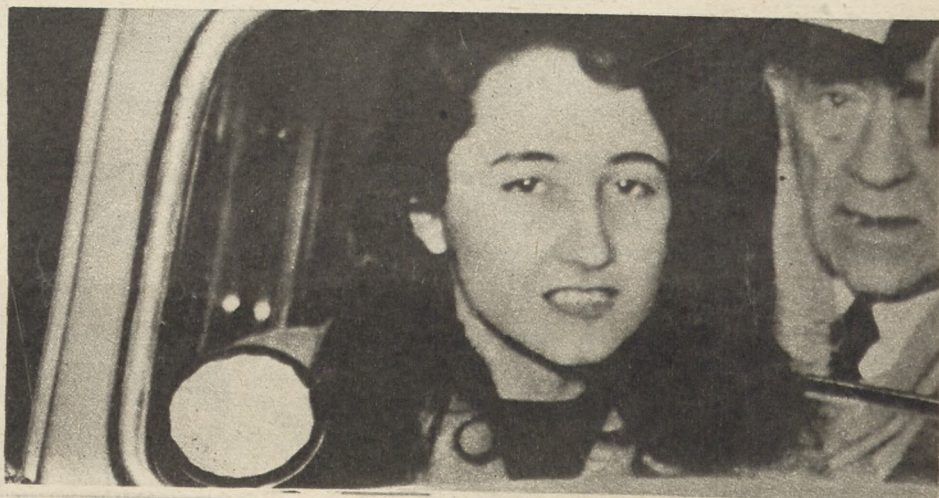
Tłumy gromadzą się przed gmachem trybunału, gdzie toczy się proces Silvana Muto, dziennikarza, który na łamach gazety „Attualita” opublikował prawdę o tajemniczym zgonie Wilmy Montesi. Muto oskarżony został o „rozśiewanie fałszywych i tendencyjnych” wiadomości. Proces przynosi niezamierzone przez oskarżycieli rezultaty: obnaża zgniliznę ustroju kapitalistycznego

Giuseppe Spataro i cztery miliony — ministrowi Piccioni). I wszystko to działo się w tym samym czasie, gdy sąd próbował dalej prowadzić proces przeciwko redaktorowi Muto.

Włoska opinia publiczna nie zadowolila się bynajmniej dymisją szefa policji, Pavone. Żąda ona, aby ujawniono całą prawdę o śmierci biednej dziewczyny, która padła ofiarą zwyrodniałej szajki narkomanów. Żąda wreszcie ukarania tych wszystkich, którzy żerując na krwi robotników dopuszczają się różnych przestępstw i drwią sobie z prawa.

Coraz poważniejsza liczba Włochów zdaje sobie sprawę, że „afera Montesi” jest jednym z objawów gnicia ustroju społecznego, który skazany jest na zagładę.

TOMMASO CHIARETTI



Anna Caglio świadek koronny w procesie Silvana Muto. Mimo prób zastraszenia, Caglio złożyła przed sądem zeznania obciążające wysokich urzędników państwowych

Świadcami na ślubie byli: Ugo Montagna i... Mario Scelba (po lewej), obecny premier rządu włoskiego. W ujawnionych ostatnio raportach policyjnych stwierdzono, że Montagna utrzymuje stosunki z wysoko postawionymi osobistościami. I rzeczywiście!



Silvano Muto (po prawej) — redaktor naczelny tygodnika „Attualita” — udaje się na kolejną rozprawę do sądu. Proces trwa i z każdym dniem ujawnia jakiś nowy skandal, którego „bohaterami” są wszyscy chadeccy dygnitarze państwowi

6 DNI NA WYSOKOŚCI 2500 m



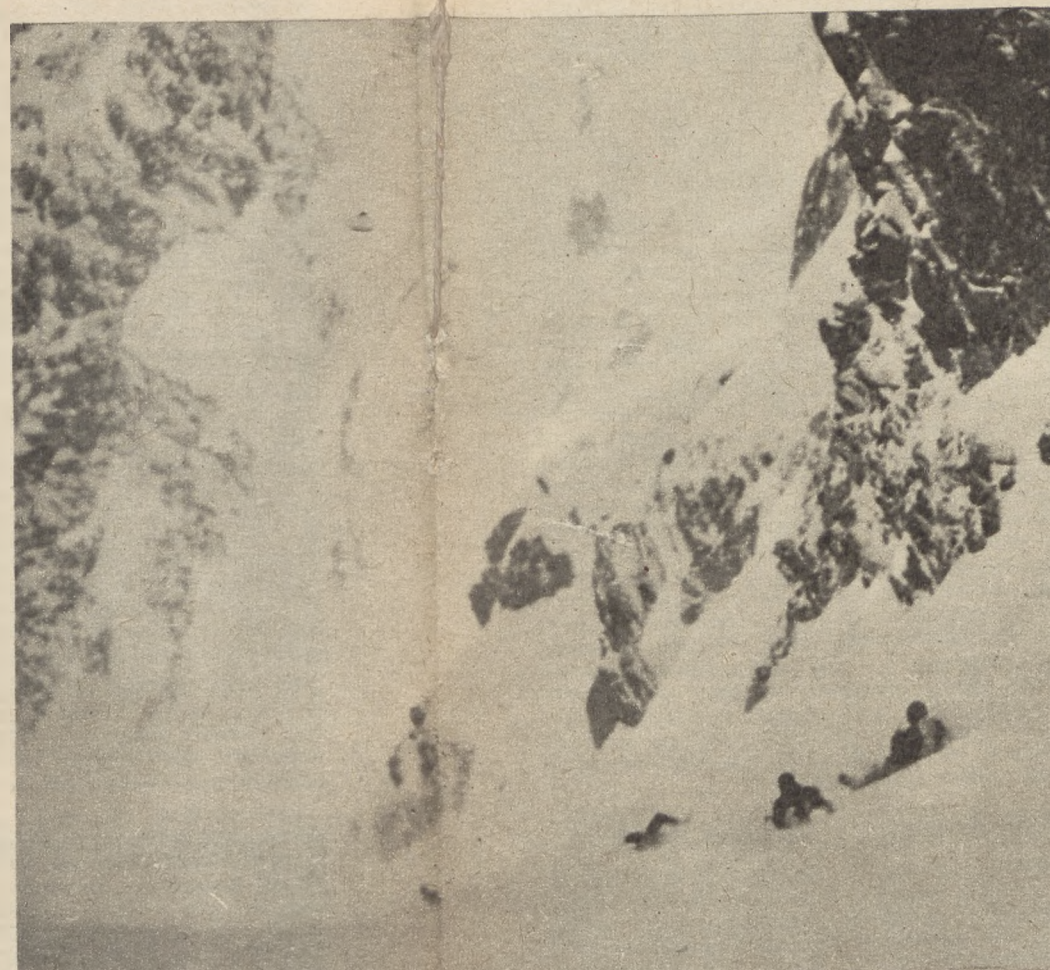
SZESNASTU najlepszych polskich taterników zaopatrzonych w żywność i sprzęt biwakowy przebyło w trudnych warunkach atmosferycznych grani najwyższych szczytów w rejonie Morskiego Oka, w okresie od 21 do 26 marca br. Wszystko zapowiadało, że Alpinada odbędzie się przy pięknej pogodzie i bez większych niespodzianek.

Kilka dni treningu wykorzystano na założenie pierwszej w historii Tatr linii telefonicznej, biegnącej szczytami od schroniska w Morskim Oku do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich (telefony w obu schroniskach działały bez zarzutu).

Tymczasem... trzeciego dnia wspinaczki rozszalał się halniak i śnieżyca. Nasz sprzęt wspinaczkowy jest daleki od nowoczesnego. Co najmniej trzykrotnie cięższy od sprzętu, którym posługują się np. sąsiedzi, Czeši. Przy tym organizatorzy imprezy nie zapewnili najwyższej jakości nawet tego sprzętu, którym dysponujemy.

Mimo archaicznego sprzętu, mimo że kierownik Alpinady pozostawił całkowitą swobodę grupom w decydowaniu o możliwościach dalszego marszu, mimo wreszcie warunków atmosferycznych, utrudniających każdy krok grania, alpinści nasi przebyli zwycięsko wyznaczone odcinki trasy i w oznaczonym dniu osiągnęli Szczyt Mięguszwiecki.

I Ogólnopolska Alpinada Zimowa, zorganizowana przez Klub Wysokogórski dla uczczenia 10-lecia Polski Ludowej i 50-lecia istnienia zorganizowanego taternictwa, wykazała wysoką formę naszego alpinizmu. Wykazała przygotowanie tak organizacyjne, jak i kondycyjne do podejmowania o wiele trudniejszych i bardziej skomplikowanych wypraw.



Szerokim żlebem, wymarzoną drogą dla lawiny, zjeżdżają alpinści. Wiele godzin wspinaczki rewanżuje kilkunastominutowy zjazd na czekanach i... spodniach. Na starą, zlodowaciałą „deskę” nawiało kopnego śniegu. Mkną jedna, druga, następne sylwetki... Uwaga! Nieopatrzny skręt? Kamień? Niebawala siła rzuca w bok kotłowaną człowieka i śniegu... Jeszcze jeden poślizg, a wszystko rozetrze się o głaz... Człowiek i tym razem zapanował nad żywiołem. Żyje i zdrow.



Już trzeci dzień halniak szaleje z szybkością dwudziestu metrów na sekundę. Znosi prawie z grani. Widoczność maksymalna dziesięć kroków. Szczęście, że mróz niewielki, minus pięć stopni. Na Żabiej Turni Bielowi i Honowskiemu zaklinowała się lina. Mija wiele cennego czasu, marnują wiele energii na walkę z tymi dodatkowymi trudnościami. „Truposz” (taternickie przezwisko Biela) — świetny strateg i taktik długich i trudnych przejść — występuje wreszcie z przyjacielem z tej nieprzewidzianej opresji. Opóźniają jednak znacznie dotarcie na biwak całej grupy taterników

JÓZEF HEN

Notatnik zapalenica

OSTRZE NA OSTRZE

SWENĘŁY szable i ostrze szczęknięto o ostrze. Widozowie zamarli. „Broni się jeszcze” — wyszczałł pobladłymi ustami trener Kevey. Stal dzwoniła o stal. Trener przykniął oczy, ale po chwili znów je otworzył. „Atakuje” — krzyknął. „Niech go kaci, to gracz nad gracze!” A mistrz tylko nad głowami gości błyskawicą mignął, przypominając polskie fechtarskie wykrety: krzyżową sztukę, młynca, cios krzywy, cios cięty. „A to? Dalibóg, to moje, to ciebie znane tylko u nas w zaścianku, zwane od przezwiska Keveya „cios bratanków”...!

Takie i tym podobne skojarzenia z lektury snuły mi się po głowie, gdy siedzieliśmy na spotkaniu szermierze Polska — ZSRR. Zapaleni, którzyście sobie pojęcie o tej galezi sportu wyrobili na podstawie lektury Sienkiewicza albo oglądając filmy — muszę was przestrzec, że będziecie srodo zawiedzeni! To nie to! Dzisiejsza szermierka, to przyjemny, towarzyski sport, bardzo kameralny, powiedziałbym: domowy. Można się bawić „szabelką” w każdym mieszkaniu, nawet przy nikłym metrażu, nawet przy dużym „zagęszczeniu”. Już widzę wieszczym wzrokiem, jak ta mila gra towarzyska wypiera wszelką inną rozrywkę, z brydżem i salomonem włącznie.

Dzieje szermierki pozwalają z otuchą patrzeć w przyszłość ludzkości. Jej przeistoczenie się z zacieklej sztuki mordu — „do pierwszej krwi!”, albo gorzej, bo „do ostatniego tchu!” — w przyjacielską, bezkrwawą rozrywkę, może symbolizować tę drogę, po której ludzkość powoli, z ociąganiem się, nieraz z oglądaniem się w tył, ale przecież nieuchronnie podąża. Oto widzieliśmy szpadzistów tańczących na elektrycznej linie. Energia elektryczna w służbie zabawy szpadkami — czy to nie pocieszające? Nie mamy chyba nic przeciwko temu, żeby zobaczyć w podobnej roli energię atomową. Amen.

Na sali zebrali się niemal w komplecie nasi przedwojenni mistrzowie szermierki. Ludzie ci, bardzo zasłużeni dla tej galezi sportu, byli prawie wszyscy oficerami („przedwojennymi, paniusiu!”). Przez jakiś dziwny upór wmałniał sobie bowiem wówczas, że szermierka to sport tylko dla wojskowych. Nie trudno zrozumieć, że tak nie jest, że sprawa ma się wręcz odwrotnie, to znaczy nowoczesna szermierka przypomina raczej ping-pong i że floret ma tyle wspólnego z atakiem na bagnety, co tenis z artylerią.

Wraz z innymi przesądami wyzbyliśmy się i złudzeń co do szermierki — uprawiają ją u nas z powodzeniem górnicy, studenci, uczniowie, żołnierze i w ogóle każdy, kto chce podnieść sprawność ręki, oka, refleksu. Przypominam, że czołowy polski szermierz Zabłocki jest z zawodu architektem. Kto wie, czy ten zawód, wymagający pewności oka i ręki, precyzji, lekkości i gracji — nie ma największej punktów stycznych ze sportem szermierczym.

Ogół publiczności nie bardzo jeszcze wie, co to jest szermierka. Każdy, mniej więcej, rozumie się na piłce nożnej. Gol — to fakt bezsporny, to się widzi. Trudniej już jest z boksem, szczególnie gdy wygrywa zawodnik, stosujący taktykę defensywną. W szermierce czystych, nie budzących wątpliwości „tuszów” — prawie nie ma — dopiero dokładna analiza uderzeń ustala, kto został trafiony. (Kilka czystych cięć zadał w ostatnim meczu Pawłowski — jest to szermierz walczący w wielkim stylu). Publiczność, szczególnie siedząca na dalszych miejscach, wyrabia sobie pojęcie o tym, co zaszło na planszy, wyłącznie z miny szermierza; a prawie każdy z nich jest z siebie bardzo zadowolony. Obserwowanie fizjonomii — to sposób zawodny. Sądzę, że dla uniknięcia nieporozumień prasa sportowa powinna przed wielkimi zawodami pisywać o specyfice danego sportu.

A teraz na zakończenie kilka wniosków, być może bardzo pośpiesznych. Wydaje mi się, że szpadziści radzieccy są w tej chwili grubo lepsi niż nasi (np. Udras, Sajczuk) i mogli wygrać w wyższym stopniu niż 9:7. Odwrotnie przedstawia się sytuacja w szabli. O Zabłockim i Pawłowskim wiemy wszyscy, że są to „gracze pierwszej wody”. Ale i Twardokens, mimo trzech porażek — (mowa o szabli!) — walczył chwilaми porównywalnie. On jeden prowadził z Wyspolskim 4:0! A jednak Wyspolski wygrał z nim 5:4. Był to tryumf rutyny i techniki najlepszego radzieckiego szablisty — i przykład zupełnego załamania się, zdaje się, że i kondycyjnego, zawodnika polskiego. Co prawda, we fiorecie 4 zwycięstwa Twardokensa zadecydowały o wygranej naszego zespołu. Pochwalmy go za to, pochwalmy całą naszą drużynę i na dziś nie wnośmy już żadnych pretensji.

Godzina 4 rano. Mrok przedświt pogłębia mgła. Pierwsza czteroosobowa grupa szurmowa wyrusza na grani. Plecaki wyladowane żywnością i sprzętem biwakowym. Buty uzbrojone w raki, a ciężkie liny i czekanie dopełniają ekwipunku. Zadanie na dziś: szczyty — „Dziad” i „Woloszyn”, przełęcz „Krzyżne” do „Orlej Baszty”. Pogoda sprzyja. Trudne trawersy na oblodzonej grani pokonują nasi taternicy z wielką wprawą

Tu będziemy biwakować. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku przygotowano głębokie jamy w śniegu. Gumowane płachty i puchowe śpiwory ochronią od wilgoci i zimna. Na kocherze w krótkim czasie gotować się już będzie zdrowy posiłek — mianowicie kolejna porcja gryzku. Rozpoczyna się kilkugodzinny, dobrze zasłużony odpoczynek.



Trzecia grupa szurmowa wyszła najpóźniej z bazy. Już w czasie zamieci. Trasę miała najkrótszą, ale nienajłatwiejszą. Bryki lodu tną twarz. Ubrania sztywnieją pod pokrywą lodu. Buty przemakają, a liny przyniatają ciężarem. Niestety, sprzęt wspinaczkowy pozostawia wiele do życzenia.



W południe zaczęły kłębić się chmury. Wieczorem zerwał się halniak. Na graniach rozszalała śnieżyca. O świcie łącznicy (w puchowych kurtkach i brezentowych skafandrach) śpieszą na spotkanie z grupami szurmowymi z poleceniem: — Kierownicy grup decydują o dalszych losach wspinaczki.



Z HITLEREM I Z HORTHY

ŚLADAMI ŚMIERDZĄCEJ SPRAWY (3)

BYŁ TO piękny, pogodny, letni dzień 1938 roku. Otwarte samochody już czekały i wkrótce po zajęciu miejsc przez dostojnych gości — ruszyły szybko ku stoczni „Germania“ w Kilonii. Pani Horthy jechała w jednym wozie z wielkim admirałem Raederem, zaś admirał Mikołaj Horthy zasiadł w jednym samochodzie z samym Hitlerem. Na stoczni czekał już okręt. Goście weszli na trybunę. Pani Horthy rzekła: Chrzczę cię „Książę Eugeniusz“; nacisnęła na elektryczny guzik, który wyzwolił uwieszoną na sznurku butelkę szampana. Rozbiła się ona (tj. butelka, nie pani Horthy!) o dziób statku, zgodnie ze starym zwyczajem marynar-skim.

Mikołaj Horthy — od 1 marca 1920 regent Węgier — był głównym partnerem sanacji w grze o Słowację. Barwna to była postać — ale głównie w kolorze brunatnym. Horthy, adiutant przyboczny cesarza Franciszka Józefa, był tak zniemczony, że gdy w 1919 roku stanął na czele kontrrewolucji na Węgrzech — mówił tylko łamaną węgierszczyzną. Był on ostatnim głównodowodzącym smutnej pamięci cesarsko-królewskiej marynarki wojennej i chętnie chadzał w mundurze admirała nawet po rozpadzie monarchii Habsburgów — jakkolwiek rzut oka na mapę mówił każdemu, iż ojczyzna jego nie posiada dostępu do morza. Mimo to Horthy wahał się w szamerowanym złotem admirałskim mundurze nawet po pastwisku w swym majątku (patrz zdjęcie!). Hitler zaprosił go w lecie 1938 roku na spuszczenie ciężkiego krążownika, który miał się początkowo zwać „Admirał Tegetthoff“ dla uczczenia zwycięzcy bitwy pod Lisą. Ostatecznie jednak Hitler doszedł do przekonania, iż Mussolinemu byłoby przykro, gdyby nazwano okręt imieniem pogromcy floty włoskiej.

ZYCIE ZA HITLERA

Całą tę uroczystość Horthy wspomina po dziś dzień z głębokim sentymentem — aż dziw, że jego pamiętniki, drukowane w roku 1952 na łamach hamburskiej „Die Welt“, noszą tytuł „Życie za Węgry“ — tytuł „Życie za Hitlera“ byłby znacznie właściwszy.

Horthy opisuje, iż kiedy jego czcigodna małżonka wgramoliła się na parowiec „Patria“, on sam wraz z Hitlerem używał morskiej przejażdżki na awizo „Grille“. Przy śniadaniu wielki admirał Raeder (obecny adres: więzienie dla zbrodniarzy wojennych, Spandau) wychwalał gościa węgierskiego jako wielkiego żeglarza.

Po wzajemnych grzecznościach panowie przeszli do interesu. „Kiedy znowu wzięliśmy kurs na Kilonię — pisze Horthy — Hitler poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy“. To, co powiedział wtedy Horthy'emu, nie było niczym innym, jak tylko słynnym „Zielonym Planem“, czyli po prostu planem najazdu na Czechosłowację. Hitler powiedział, że zamierza „zmiażdżyć“ Czechów, Pragę — „skoro zajdzie potrzeba“ — zniszczyć, a z Czechosłowacją uczynić niemiecki protektorat. Horthy z łezką w oku wspomina te wspólne, zbrojeckie knowania: „Czynił wrażenie zdecydowanego na wojnę i starał się uzyskać ode mnie zapewnienie, iż jednocześnie z najazdem niemieckim — my uderzymy od południa na Słowację, przy czym dał mi do zrozumienia, że będziemy mogli zatrzymać zdobyte terytorium“.

Horthy zacierał ręce, kiedy Hitler obiecał mu „dole“ w prawie na Czechosłowację. Miały się więc zrealizować dawne marzenia feudałów węgierskich, marzenia, na których umiętnym wygrywaniu opierał się Hitler. Horthy działał w ścisłym porozumieniu z Warszawą. Już 12 lutego 1938 roku węgierski minister spraw zagranicznych Kánya przyjął w Budapeszcie niejakiego Kuenzla — posła Partii Niemców Sudeckich. Powiedział mu (Kuenzel w tydzień później pisał o tym w raporcie dla hitlerowskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych), iż „jego rozmowy z polskimi mężami stanu wykazały, że Budapeszt i Warszawa miały to samo zadanie, jeśli chodzi o los polityczny Czechosłowacji. Oświadczenie to złożył w bardzo ostrej formie“.

Zalosny pogrobowiec monarchii Habsburgów — węgierski regent admirał Mikołaj Horthy — był godnym partnerem Rydza-Śmigłego i Mościckiego w prowadzeniu intryg przeciw Czechosłowacji dla dobra... Hitlera!

Mowa tu o wizycie Kányi z Horthym w Warszawie między 6 a 10 lutego 1938, kiedy to oficjalny komunikat wspominał tylko o „bliskim porozumieniu i przyjaźni między obu krajami“. Horthy teraz, po tylu latach, pisze bez mrugnienia okiem, iż uważał, że „granice wersalskie (mowa oczywiście o zachodnich) Polski były niesprawiedliwe i wymagały rewizji, co ja nawet oświadczyłem wobec Polaków podczas mej wizyty w Krakowie i Warszawie“. Polscy rozmówcy Horthy'ego nie tylko przemilczają to zdanie ich sojusznika w swych wspomnieniach, ale — co gorsza — uważali przed laty Horthy'ego za godnego partnera do „trójki hultajskiej“, przygotowującej słowacką awanturę.

DWAJ PANOWIE H

Dwaj panowie H — Hitler i Horthy — byli partnerami Becka w grze, ale Beck nie wypuszczał z rąk pierwszych skrzypiec. Długoletni warszawski korespondent „Hamburger Fremdenblatt“ pisał w swej (skonfiskowanej przez szlachtę w Niemczech hitlerowskich) książce „Polskie intermezzo“, że „Warszawa stała się zapalonym rzecznikiem „całkowitego rozwiązania“ kryzysu czechosłowackiego i w tym względzie przewyższała nawet Budapeszt. Krzewiła ona przyjaźń ze Słowakami tylko po to, aby wzmocnić u Słowaków dążenia do zupełnego oderwania się od Pragi“.

Jeszcze wyraźniej stawia sprawę Kazimierz Papee, ówczesny ambasador RP w Pradze, który 20 kwietnia 1938 roku pisał do Becka: „W każdym razie Rzesza, Polska i Węgry powinny by porozumieć się zawczasu i podzielić strefami interesów. Węgry powinny by zrozumieć, że mechaniczne rozwiązanie sprawy słowackiej jest dziś już niemożliwe. To by „nas“ osłabiło — a przecież może chodzić o wspólny front przeciw Rosji“.

Kiedy politycy polscy śnili o podbojach u boku III Rzeszy — to III Rzesza śniła o podbojach krajów, leżących u jej boku, jak na przykład... nie, nie — niech lepiej mówią dokumenty! Zachowało się w aktach hitlerowskiego MSZ memorandum z datą 20 czerwca 1938 roku, które na marginesie nosi adnotację ołówkiem: „przedłożone na początku czerwca przez sekretarza stanu Ministrowi Rzeszy“.

NASTĘPNI NA LIŚCIE

Memorandum to trzeźwo ocenia rozwój sytuacji: „Jest nieuniknione, że, kiedy Niemcy, załatwiwszy problem granicy południowo-wschodniej, zajądą się do problemu granic na wschodzie i północnym wschodzie — to Polacy nastawiają uszu, ponieważ przyjmuje się powszechnie, że skoro sprawa czeska będzie załatwiona, to Polska znajdzie się na liście jako następna“.

A tu tymczasem politycy polscy uroczyście witali i zapewniali o swym poparciu przejeżdżającą przez Polskę delegację Słowaków amerykańskich, którzy właśnie ten moment uznali za stosowny, aby wysunąć separatystyczne żądania pod adresem rządu Czechosłowacji, i którzy przybyli do Europy na pokładzie „Bato-rego“.

A tu tymczasem latem 1938 roku b. poseł RP w Wiedniu — Jan Gawroński, który już od dawna był wtajemniczony w machinacje w Słowacji — spotkał się z samym przywódcą hitlerowskiej dywersji, Konradem Henleinem, w dobrach hrabiego Khuen-Belasi-Luetzow na Morawach, gdzie obaj radzili nad rozbiorem Czechosłowacji.

A tu tymczasem — jak wspomina ówczesny minister spraw zagranicznych Rumunii, Coonnene Petrescu, w „Preludium wielkiego dramatu“ — ambasador polski w Paryżu oświadczył posłowi rumuńskiemu: „Czecho-

słowacja musi zniknąć jako czynnik polityczny. Jej likwidacja jest absolutną koniecznością dla Polski, która nie cofnie się przed niczym dla uzyskania wspólnej granicy z Węgrami... Słowacja i Ruś Zakarpaska powinny przyspać Węgrom, chociaż nie ukrywamy, że część Słowacji powinna połączyć się z Polską“.

A tu tymczasem co trzeźwiejsi polscy agenci wśród faszystów słowackich przechodzili na zółd hitlerowski, uważając nie bez racji, że lepiej dostawać pieniądze z pierwszej ręki — niż przez pośrednika. 17 lutego 1938 roku poseł niemiecki w Pradze, Eisenlohr, pisał do Berlina, iż „propaganda Jehliczki może być nadal wspomagana, jakkolwiek nieco w innej formie“; chodzi tu o księdza Jehliczkę, tego samego, który w r. 1919 dostał w Warszawie paszport na fałszywe nazwisko i przez lata całe był opłacany przez Polskę. Jeszcze ciekawsze są nieco późniejsze dokumenty hitlerowskie, które ukazują „niezależność“ słowackich faszystów. „Sicherheitsdienst“ zwrócił się mianowicie do hitlerowskiego MSZ z żądaniem zwrotu 6.000 marek, które wydał na Durczańskiego i innych agentów w Słowacji. „W zamian za to — cytujemy memorandum szefa wydziału politycznego IV b., Altenburga — SD oddaje informacje swe do dyspozycji MSZ. Pierwsze dostarczone próbki były ze wszech miar przydatne. Z drugiej strony nie należy płacić w niewiedzy, na co idą pieniądze“.

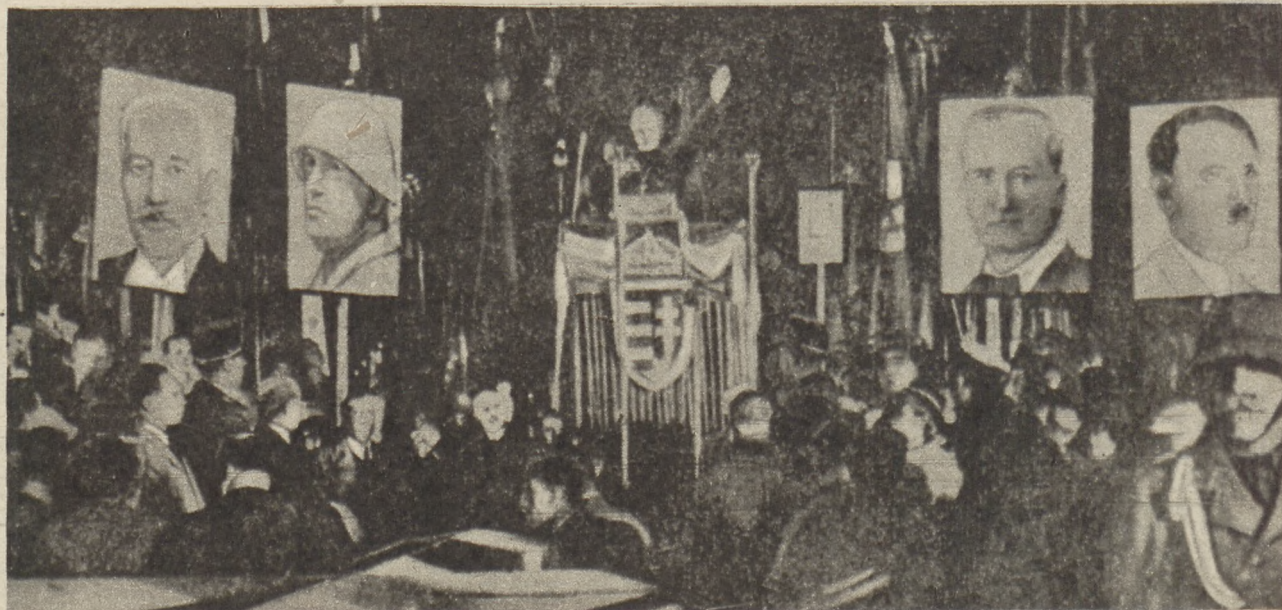
Święte słowa! W wywiadzie hitlerowskim obowiązywała zasada: „Płacę i wymagam“.

ZIELONI POLITYCY I „ZIELONY PLAN“

Polscy zieloni politycy szli na rękę Hitlerowi przy realizacji jego „Zielonego Planu“, zapominając o mądrości starego, niemieckiego przysłowia, które mówi, że głupie cielaki same sobie wybierają rzeźników. O co bowiem chodziło Hitlerowi? Mówił on o tym w memorandum z dnia 30 maja 1938, traktującym o przygotowaniu napaści na Czechosłowację: „Niezmienne ważne jest przeto stworzenie w ciągu 2 czy 3 dni takiej sytuacji, która ukazałaby państwu skorym do interwencji beznadziejność czeskiej sytuacji wojskowej, a także pobudziłaby te państwa, które mają terytorialne żądania wobec Czechosłowacji do natychmiastowego dołączenia się do akcji przeciw Czechosłowacji. W tym wypadku należy wyczekiwać interwencji Węgier i Polski przeciw Czechosłowacji...“.

Ten dokument, wymieniający Polskę jako aktywną współniczkę hitlerowskich podbojów (zanim nie podzieli losu przysłowiowych cielaków!), nosi dopisek „ściśle tajne, może być przekazywane tylko przez oficera i pisane tylko przez oficera“. Inne hitlerowskie wypowiedzi na ten temat były nie tylko że jawne, ale nawet składane wobec cudzoziemców. Gdański gauleiter Forster (wypróbowany „przyjacieł“ Polski, skazany na śmierć w 1949 roku przez nasz Najwyższy Trybunał Narodowy) powiedział w końcu sierpnia 1938 roku profesorowi Karłowi Burckhardtowi, Szwajcarowi, który był wysokim Komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku (cytuje raport z 31 sierpnia, sporządzony przez przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Senatu Gdańskiego — Boettchera): „Nie będzie się tracić czasu na próżno, ale sprawy zostaną załatwione brutalną siłą. Na początek tysiąc samolotów nadleci nad Pragę, która zostanie zrównana z ziemią. Polska będzie po stronie Niemiec. Przy podziale Czechosłowacji otrzyma ona swój udział, z którego będzie zadowolona“.

Na zorganizowanych w Budapeszcie przez rząd węgierski manifestacjach „domagających się“ uderzenia na Słowację, demonstrantom kazano nieść transparenty z podobiznami czterech współników spisku przeciw Czechosłowacji: (od lewej) Mościckiego, Mussoliniego, Horthy'ego i Hitlera. Aby nie było żadnych nieporozumień, mówca (pośrodku na trybunie) pozdrawia spędzony pod przymusem tłum faszystowski podniesieniem dłoni.





Hitler, jego minister spraw zagranicznych, jego przyboczni gestapowcy oraz jego zauszniak na Węgrzech — reprezentant feudalów Kanya. Przypatrzcie się dobrze, przecież ten pan w meloniku to jest ten...

Nazajutrz prezydent Senatu gdańskiego, Greiser, potwierdził w piśmie do hitlerowskiego MSZ to oświadczenie swego kolegi (po bandyckim fachu) i dodał, że obecny przy tej rozmowie prezydent Banku Gdańskiego, niejaki dr Schaefer, „był szczególnie zdumiony oświadczeniem gauleitera, iż istnieją pisemne zobowiązania rządu polskiego wobec rządu Rzeszy na wypadek okupacji Czechosłowacji“.

KROPKA NAD „I“

Najbardziej jednak wstrząsającymi dokumentami z tej epoki, dokumentami zdrady narodowej ministra Becka są te, które zawarte są w zbiorze dokumentów niemieckiego MSZ, opublikowanym łącznie przez rządy USA, Wielkiej Brytanii i Francji pod tytułem „Dokumenty niemieckiej polityki zagranicznej 1918—1945. Z archiwów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych“. Seria D. Tom II. United States Government Printing Office, Washington, 1949. Oto dokument pierwszy:

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy do Ambasady Niemieckiej w Polsce
Telegram

Nr 174 Berlin, 26 września 1933
Dla Ambasadora osobiście.
Otrzymałszy z poufnego źródła raport datowany 24 września, z którego wynika, że odwiedził Pan dwukrotnie Becka, by go nakłonić do współpracy polsko-niemieckiej. Beck stanowczo odmówił i oświadczył, że Polska nadal zachowa niezależną postawę. To samo źródło twierdzi, że Beck powiedział Panu, iż nie chce spotkać się z Fuehrerem. Proszę o telegraficzny raport na temat powyższych informacji, które najwiśdziej kursują po Warszawie.

Weizsaecker

Można zrozumieć niepokój hitlerowskich polityków, kiedy otrzymali od wywiadu z Warszawy niepokojące wieści o rzekomej krnąbrności Becka. Ale niepokój ich nie miał trwać długo. Rozwiązał ich troski następujący telegram:

Ambasador Niemiecki w Polsce do Ministra Spraw Zagranicznych Rzeszy
Telegram

Nr 69 Warszawa, 27 września 1933, godz. 1.48
otrzymano 27 września 1933, godz. 5.00
Dotyczy depeszy nr 174 z 26 września.

Wspomniany raport jest zmyślony od początku do końca. Rozmawiałem z p. Beckiem po moim powrocie tylko raz,

„...był on ostatnim głównodowodzącym austriackiej floty wojennej. Chętnie waleśał się w mundurze admirałskim — nawet po pastwisku — jakkolwiek same Węgry nie mają przecież dostępu do morza“.



...sam magnat węgierski w tradycyjnym stroju. który tu pozuje z Pilsudskim i Beckiem! Horthy twierdzi teraz w swych pamiętnikach, że Polska już w 1939 r. miała granice z Rzeszą zbyt wysunięte na zachód:

a mianowicie 17 września. Tematem rozmowy było Berchtesgaden. Nie próbowałem „użyć swego wpływu, by spowodować współpracę między Polską a Niemcami“, ponieważ współpraca ta istnieje już w praktyce, a usilne podkreślanie tego faktu byłoby niecelowe ze względu na nastawienie p. Becka. Nieprawdą jest również, jakoby p. Beck odrzucił myśl o nuszszej współpracy i jakoby miał powiedzieć, że Polska pragnie zachować w przyszłości niezależną postawę. Wręcz przeciwnie, jak już donosiłem (obacz mój telegram z dnia 17 września) p. Beck w rozmowie ze mną, wcale o to nie proszony, przekazał mi ściśle tajne informacje o koncentracji wojsk polskich, w czym przecież wyraża się oczywiście praktyczna współpraca. Ponadto, w związku z tym p. Beck zaznaczył, że udziela tych informacji wyłącznie rządowi niemieckiemu. Faktem jest, że Beck kładzie wielki nacisk na możliwie samodzielne osiąganie swych celów, przede wszystkim zaś usiłuje on na zewnątrz uniknąć wrażenia zależności od Niemiec. O tym oczywiście wiadomo w tutejszych kołach politycznych i tu niezawodnie tkwi źródło owego fałszywego raportu.

W czasie tej rozmowy z Beckiem nie wspominałem o wizycie u Fuehrera ani o żadnych innych zamierzonych wizytach.

Moltke

Nic dziwnego, że na tym telegramie mógł wspomnieć już dr Altenburg dopisać nazajutrz: „Nichts zu veranlassen“. Istotnie w tej sprawie nie było już nic do dodania, ani nie trzeba było nic przedsięwziąć czy działać. Porównajmy daty. Dopisek ten pochodzi z 28 września. Nazajutrz przy zielonym stole w Monachium, gdzie mocarstwa zachodnie sprzedały Berlinowi Czechosłowację — zasiadł Hitler spokojny, iż polska polityka zagraniczna spoczywa w „pewnych“ rękach, że Beckowi można ufać.

Nie jest to zresztą jedyna cenzurka, wystawiona przez hitlerowców dla Becka, gdzie ze sprawowania postawiono mu „celującą“. W tym samym, przez Amerykanów opublikowanym, zbiorze dokumentów znajduje się krótki protokół z dnia 31 maja 1938 roku, podpisany przez sekretarza stanu w hitlerowskim MSZ — Weizsaeckera: „Po konsultacji z Ministrem Rzeszy i za radą ambasadora von Moltke, oświadczyłem dziś temu drugiemu, że przy odpowiedniej sposobności może poinformować Ministerstwo Spraw Zagranicznych, iż „my wysoko oceniliśmy obecną postawę rządu polskiego (sprawa niemiecko-czechosłowacka)“. O powyższym poinformowałem ambasadora von Moltke“.

SIEG HEIL!

Postawa sanacyjnej polityki wywołała oburzenie opinii publicznej. Zarzucono Polsce, że zachowała się „jak hiena na pobojuwisku“. Brytyjski dziennikarz King-Hall pisał, iż „jeżeli Hitler ruszy teraz na Polskę — zawołam Sieg Heil!“. W Słowacji protegowani Polski dochodzili do głosu, wchodząc do rządu autonomicznego, sformowanego przez księdza Tiso.

Hitler — jak pisze Erich Kordt w swej książce „Uluda i rzeczywistość“ — „radośnie powitał ultimatum polskie do Czechosłowacji“ w sprawie Zaolzia i okazał wielkoduszność przy podziale łupów. Kordt cytuje jego słowa: „Wrogiem pozostaje Czechosłowacja... i stojący za nią Związek Radziecki. Każda polska dywizja jest mi tu tyleż warta, co niemiecka“.

Najciekawszy dla nas może być komentarz innego jeszcze polityka, który o układzie monachijskim pisał: „Co za sukces! Co za gwarancja pokoju! Co za przyszłość!... byłem tak uszczęśliwiony, jak nigdy jeszcze w życiu“.

Słowa te napisane zostały w sierpniu 1946 roku, a 16 października tegoż roku ów pamiętnikarz, tak czule wspominający monachijski sukces hitleryzmu, zawisł na szubienicy. Wtedy, kiedy uszczęśliwiło go Monachium, był ministrem sprawiedliwości Rzeszy, lecz instynktem polityka wyczuwał widocznie, iż szykuje mu się lepsza posada. Człowiek ten nazywał się Hans Frank i był przez lata wojny tak zwanym generalnym gubernatorem tak zwanej Generalnej Guberni.

Dalszy ciąg nastąpi

CO NAGLE, TO PO DIABLE

KALENDARZ INFORMATOR to cenna i bardzo potrzebna pozycja wydawnicza. U nas — jak wiadomo — takich kalendarzy ukazuje się co roku kilka. Mamy więc: „Kalendarz Robotniczy“, „Kalendarz Młodzieży“, „Kalendarz Żołnierza“ i jeszcze parę innych. Każdy z nich to spora, bez mała pięćset stronic licząca, książka, w której czytelnik znaleźć może mnóstwo najpotrzebniejszych informacji z zakresu: historii, geografii, polityki, kultury, techniki i wiedzy o Polsce Współczesnej. Opracowanie graficzne kalendarzy jest staranne i atrakcyjne, a cena, w stosunku do objętości, niska, gdyż waha się od sześciu do ośmiu złotych.

Kalendarz informator odgrywa w naszym pospiesznym życiu ważną rolę podręcznej encyklopedii wiedzy o świecie i wskutek tego cieszy się ogromną popytnością. Każda z jego różnorodnych wersji rozchodzi się corocznie w nakładach od dwustu pięćdziesięciu tysięcy do miliona egzemplarzy.

Ważna funkcja społeczna kalendarza informatora i jego wielka popytność powinny zwrócić nań czujne oko krytyki. Niestety — jak mi wiadomo — jeszcze żaden z popularnych kalendarzy nie doczekał się gruntownej oceny krytycznej. Tymczasem krytykować je trzeba, gdyż nie wszystko jest w nich w porządku. Przekonałem się o tym już po pobieżnym przejrzeniu „Kalendarza Robotniczego“ na rok 1954 („Książka i Wiedza“, Warszawa, styczeń 1954. Nakład 780.000 egz. Cena zł 7.50, w prenumeracie zł 6.—).



Rys. A. Perzyk

„Kalendarz Robotniczy“ — poza innymi zadaniami — służy także upowszechnieniu czytelnictwa wśród robotników. Jest więc tam wykaz książek szczególnie zalecanych do lektury. Ale doboru książek zamieszczonych w tym wykazie w żaden sposób nie można uznać za zadowalający. Przeciwnie: jest to dobór najzupełniej przypadkowy, rażący kardynalnymi brakami i zaniedbaniami.

Czym bowiem wytłumaczyć fakt, że w spisie lektury, zalecanej dla czytelników robotniczych, nie znalazło się miejsce dla klasycznej już dzisiaj książki Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe“?

Dlaczego uznano za nieodpowiednie dla robotników takie książki, jak Andrzejewskiego „Popiół i diament“, K. Brandysa „Człowiek nie umiera“, Brauna „Lewanty“, Brezy „Uczta Baltazara“, Broniewskiej „Z notatnika korespondenta wojennego“, Czeszki „Pokolenie“, Ścibora-Rylskiego „Węgiel“, Zielińskiego „Ostatnie ognie“ i „Jeszcze Polska...“, M. Żuławskiego „Rzeka Czerwona“?

Dlaczego wreszcie (proszę mi wybaczyć ten szczegół osobisty) z czterech książek, napisanych przez autora niniejszego felietonu — robotnikom zalecono nie dwie książki dla dorosłych, lecz dwie książki dla dzieci?

Tego wszystkiego nie zdoła nikt wytłumaczyć. Nawet wydawnictwo, które wydało „Kalendarz Robotniczy“. Udało mi się jedynie dowiedzieć, że braki spisu książek wynikły nie tyle ze złej woli, co z... pośpiechu.

Cóż, w wielu wypadkach pośpiech zasługuje na pochwałę. Wydaje mi się jednak, że przy opracowywaniu ważnego wydawnictwa, obliczonego na 780 tysięcy odbiorców, można było odżalować jeszcze pół godziny i zrobić wszystko jak należy. Stare polskie przysłowie mówi: co nagle, to po diable.



CYGANERIA WARSZAWSKA 1910-1913

WSPOMNIENIA I ANEGDOTY

DO NIEZATARTYCH wspomnień z okresu wczesnej młodości należą chwile mego wyjazdu do Warszawy i pierwsze kroki na jej bruku. Jak dziś pamiętam bufet I klasy dworca kolejowego w Kijowie: sztuczne palmy, biel obrusów, pobrzękiwanie srebra i aromat doskonałej kawy. Aromat ten w jakiś dziwny sposób łączył się z zalatującymi z sąsiednich poczekalni podejrzany zapachami lizolu, smoły i machorki — fetorkiem tłumów koczującej biedoty. Miałem oczywiście tzw. „Reisefieber” śledząc z niepokojem wskazówki zegara nad bufetem. Wreszcie we drzwiach wychodzących na peron zjawił się wygalowany brodac — portier i potrząsając wielkim dzwonkiem

Nowy Świat. Wreszcie — Szpitalna 8. Tu właśnie, w pracowni malarskiej pewnego dziennikarza, do którego miałem list polecający, spędziłem moją pierwszą warszawską noc. Przedtem jednak gościnny gospodarz wyciągnął mnie na „pół czarnej”. Los zrzucił, że tegoż wieczora, przy tej okazji, poznałem niemal cały Parnas ówczesnej cyganerii warszawskiej. Zbierała się ona w cukierni „Udziałowej” na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata. (Dzisiejszy Klub Międzynarodowej Prasy i Książki). Ścięty róg narożnej kamienicy stanowił wejście do cukierni. We drzwiach stał imponujący, fantastycznie umundurowany portier. Tuż za nim znajdował się niewielki hał, którego centrum zajmowała wielka palma obudowana okrągłą, zieloną, pluszową kanapą. Był to rodzaj poczekalni. Resztę tego hallu wypełniały lady z cukrami i ciastkami oraz ozdobne, oszklone szafy z bombonierkami. Właściwą cukiernią była długa „kicha”, po lewej stronie której mieściły się kanapy i łóża, po prawej — wejście na bilardy oraz okienko do kuchni. Ściany tej „kichi” wyłożone były mahoniową boazerią. Ponad nią biegł fryz przedstawiający jakiś secesyjny landschaft. Wszystkie właściwe elementy tego wnętrza były pretensjonalne i brzydkie. Zastanawiające było jedno — w całości miało to jednak charakter, a więc i swoje piękno, tak że mimo całej tej secesyjnej wulgarności nie przypuszczam, żeby znalazł się ktoś, kto by zgodził się zamienić ją na gładkie ściany i poprawność kolorów dzisiejszego zreformowanego baru. Faktem jest, powtarzam, że cukiernia „Udziałowa” ze swoimi pluszowymi łóżami i wyfrędzlowanym przepychem stanowiła harmonijną całość z zaludniającą ją publicznością i była niezastąpionym tłem dla tych postaci w sztywnych wysokich kołnierzykach, wciętych sakpaltach, cwikierach i melonikach. W jednej z tych pluszowych łóż poznałem właśnie znakomitego Fiszerę i Kamila Witkowskiego, Dunikowskiego i Stasinka Sierosławskiego, Feliksa Jabłczyńskiego, Edwarda Słońskiego i Bolesława Leśmiana, Karola Szustra, Jana Lemańskiego, Zygmunta Kisielewskiego — słowem całą galerię sławnych dla ówczesnej Warszawy typów bohemy, typów, o których dalej zresztą będzie mowa.

prawo. Tam właśnie, zaraz po przyjeździe, skierowałem swoje kroki. Strach przed egzaminem i trema, czy mi się uda dostać do prof. Lentza, okazały się płonne. Po minimalnych formalnościach, po wpłaceniu pewnej sumki, woźny zaprowadził mnie po prostu do pracowni prof. Lentza. Udając, że naga modelka jest dla mnie chlebem powszednim, z wypiekami na twarzy wziąłem się do rysowania.

Już w pierwszym tygodniu mego pobytu w szkole od razu wciągnięto mnie do pracy przy urządzaniu Balu Młodej Sztuki. Przygotowania te trwały parę miesięcy. Malowanie modelu, dyskusje nad impresjonizmem odgrywały raczej rolę drugorzędą. Bal Młodej Sztuki był głównym tematem zainteresowań ciała profesorskiego i uczniów. Trzeba przyznać, że wypadł on imponująco. Pretensjonalny przepych przeladowanych złoceniami i plafonami sal Filharmonii Warszawskiej zamienił się w ciągu paru godzin w krainę czarownic baśni z jakichś polskich „Tysiąca i jednej nocy”. Cały sufit zawieszony był siecią rybacką z cekinami, naświetloną kolorowymi witrażami. Stylowe, zaimprowizowane z kolorowych bibulek stroje młodych malarek i wspaniałe toalety tłumy warszawskich elegantek podnosiły jeszcze bardziej zjawiskowy niemal



zaintonował uroczyste: „Sarny, Kowel. Warszawa — pierwszy zwonok”. Przy bufecie dopijano ostatnie wódki. Wyfraczeni kelnerzy inkasowali swe napiwki. Nikt się specjalnie nie spieszył — do odejścia pociągu były jeszcze dwa dzwonki, tzn. prawie godzina. Po jej upływie pulmany kolei południowo-zachodniej unosiły mnie na północ — kierunek Warszawa.

Dopiero na drugi dzień, o późnym już zmroku, zmęczony i podekscytowany, wysiadałem na niepozornym dworcu terespolskim (okolice obecnego Wschodniego). Jedynym imponującym fragmentem na tym dworcu była postać rosnącego żandarma z wielką kitą na futrzanej czapce.

Roztrzęsioną dryndą, tłukąc się po kocich łbach tonącej w mroku Pragi, czułem pewne rozczarowanie. Więc to jest Warszawa? Za mostem Kierbedzia serce zabiło żywiej. Poznałem sylwetę kolumny Zygmunta, zabytkowe kamienice i kościoły Krakowskiego. Nastrój poprawił się wyraźnie, gdy moja drynda wtoczyła się na tętniący życiem, falujący tłumami spacerowiczów



Ta imponująca mi wielkością, wyglądem i błyskotliwością wystawiania się plejada intelektualistów pozwala mi siedzieć koło siebie, przysłuchiwać się niekończącym się dyskusjom i kawałom, słowem dojrzywać w klimacie całkowicie dla mnie nowym, uroczym i urzekającym. Tu dokonywały się moje pierwsze „wtajemniczenia”.

W czasach owych, mimo że Warszawa liczyła już blisko milion ludności, problem mieszkaniowy jeszcze nie istniał. Bez trudu też, już na drugi dzień po przyjeździe, znalazłem dla siebie skromne locum w pobliżu Nowego Świata i „Udziałowej” — na ulicy Chmielej 7. W podwórzu tego domu mieścił się słynny nocny szantan „Akwarium”.

Kiedy czasami bywam we wspaniałym gmachu dzisiejszej Akademii Sztuk Plastycznych na Krakowskim Przedmieściu, przypomina mi się okropna ruderka Szkoły Sztuk Pięknych, do której uczęszczałem. Mieściła się ona przy ul. Hożej 33. Dziwnym jakimś zrzędzeniem losu dom ten ocalał i płomienie zagłady, które zniszczyły Warszawę, nawet go nie liźnęły. Można też dziś na własne oczy oglądać obok cuchnącego ustępu koślawe schody, które prowadziły do tej Alma Mater sztuki. Wystarczy wejść w bramę, pociągnąć nosem i spojrzeć w

rok tego balu nad balami. Zabawne było to, że studentenci-gospodarze występowali we frakach i lakierach. Nie trzeba chyba dodawać, że fraki były wypożyczone na Świętokrzyskiej, a lakiery kupione na Kercelaku. Ponieważ gospodarzy było dwunastu, a fraków tylko cztery, podczas gdy dyżurna czwórka przebrana za lordów pełniła honory domu na sali, pozostali siedzieli w ubikacji na oknie w skarpetkach i półkoszulkach. Koleżanki wybrały lepszą dolę. Miały fantastyczne krynoliny z bibulek, a choć pod koniec balu wszystko to było w strzępach, wyglądały czarująco. Widocznie były przygotowane na wszelkie ewentualności. Bal ten był nie tylko tzw. „gwoździem“ karnawału, o którym się mówiło jeszcze długie miesiące, ale i jedynym sposobem do uzyskania funduszy do zasilenia kasy „Bratniaka“ szkoły. Były to bowiem czasy „bryndzy“ wśród młodych artystów, czasy wykrzywionych obcasów i łatanych portek. Nie było ani stypendiów, ani pomocy państwa. Pieniądz przychodził z trudem, zarobki były minimalne. Posiadanie futra było rzadkością nawet wśród profesorów. Opowiadają, że znakomity rzeźbiarz Ksawery Dunikowski po sprzedaniu jakiegoś luksusowego nagrobka postanowił nabyć futro. Udał się do słynnego kuśnierza Chowańczaka.

— Chciałbym futerko — mówi wzruszony profesor.
— Jakie futro pan by sobie życzył?
— No, zimowe. Naturalnie zimowe — odpowiedział Dunikowski, tak jakby istniały i letnie futra.

Ale wróćmy do szkoły. Dyrektorem był wtedy Lentz. Profesorami: Krzyżanowski, Pieńkowski, Słewiński, Trojanowski i Tichy. Stosunki szkolne, jej osobliwości i typy dość dobrze odmalowała szopka uczniowska, urządzana corocznie w okresie karnawału. Oto na przykład postać woźnego, administratora, dozorczy, elektrotechnika, a nieraz i modela w jednej osobie. Śpiewał on:

„Jestem ja Kowalski
Niby za woźnego,
Ale tutaj w szkole
Jestem do wszystkiego.
Kiedy jakiś mebel trzaśnie
Albo elektryka zgaśnie —
Kowalski wnet poradzi,
radzi, radzi.

Dzień w dzień pan Kowalski
Bardzo jest zajęty,
Tu rób im korektę,
Tam leć do Zachęty.
Czasem trzeba wzmocnić belkę
Lub pozować za modelkę.
Kowalski wszystko może
może, może“.

Piosenka mistrza Dunikowskiego miała fragmenty dość pikantne, np.:

„Jestem ci ja rzeźbiarz
Klasa wśród rzeźbiarzy,
Rznię w drzewie, w kamieniu...
No i gdzie się zdarzy...“

Dyrektora Lentza charakteryzowały następne strofy, które on nucił na nutę „Pije Kuba“:

„Lubię kawior i Rembrandta,
A nawet i Zorna,
No i trochę tych smarkaczy,
Choć to młódz niesforna“.



Laleczka młodej malarki śpiewała:
„Dawniej każda panienczka
Była cacy jak laleczka.
Tu w fartuchu, z pędzlem w dłoni
Za „siuzetem“ ciągle goni“.

Co prawda, nie zawsze tylko za „siuzetem“. Goniły one często za mężami, co im się nawet od czasu do czasu udawało.

Mało jest na pewno rzeczy trudniejszych od uczenia się malować. Większość jednak uczących się studia swoje traktuje wcale lekko. Szkoła artystyczna jest miejscem, gdzie parę osób pracuje z gorączkową energią, podczas gdy reszta wałkoni się przeważnie w stopniu rzadko spotykanym. Co więcej — ci, co pracują, ograniczają się do zainteresowań czysto technicznych, fakturowych, usiłując przyswoić sobie szereg tricków i smaczków, nie wymagających ani specjalnej inteligencji, ani jakichś głębszych dociekań. Tak jak i w sztuce gry na skrzypcach filozofię pozostawia się zręczności smyczka i pięciu palców. Słowem, długoletniemu rzepoleniu tak zwanych „wprawek“. Większość jednak obdarzonych żywszym temperamentem adeptów malarstwa często załamuje się, maskując swe lenistwo w nieustannym mieleniu językiem o sztuce. Zwłaszcza że okres, o którym mowa, był okresem ścierań się nierzadko sprzecznych z sobą, zmieniających się ciągle kierunków w malarstwie: od secesji wiedeńskiej i francuskich impresjonizmów, post- i postimpresjonizmów zaczawszy, na kubizmach, futuryzmach i ekspresjonizmach kończąc. Słowem bałagan

i sprzeczności, jakie panowały we współczesnej nauce, filozofii i sztuce — znalazły swoje odbicie i na poddaszu Szkoły Sztuk Pięknych na Hożej. Nie pozostało to bez wpływu na moje studia. Po krótkotrwałych zrywach w pracy następowały dłuższe okresy zniechęcenia, lenistwa i nudy, od której uciekałem do bezcelowego waleśniania się po mieście, przesiadywania po kawiarniach, słowem do tzw. zbijania bąków. Jeżeli dziś jeszcze klnę nieraz w żywe kamienie nie mogąc sobie dać rady z narysowaniem jakiejś ręki, to dlatego, że zamiast uczyc się rzeźmiosła sztuki, ćwiczyć swoje „pięciopalcówki“, błąkałem się bezcelowo czekając na ową godzinę „Udziałowej“.

W wędrownkach tych towarzyszył mi często znany w środowisku artystycznym oryginał, Ludwik Gross, malarz kwiatów. Mimo różnicy wieku przyjaźniliśmy się i nieraz odwiedzałem go na jego poddaszu na Mokotowskiej. Na drzwiach jego pracowni widniał napis: **Ludwik Gross — słońce**. Cierpiał on między innymi na chroniczny brak gotówki.

Za całe umeblowanie służył mu zawieszony na dwóch hakach hamak, koślawy stół i wielka, sięgająca sufitu drabina; taboret i stalugi uzupełniały to oryginalne wnętrze.

— Drabina jest symbolem wznoszenia się w górę — lubił on mawiać.

Pod ścianą na kartonach wspaniałe rysunki kwiatów, nerwowe, sugestywne, frapujące... Modele — kwiaty dostawał on od zaprzyjaźnionego ogrodnika z oranżerii łazienkowskiej. Były to nierzadko okazy flory egzotycznej. W okresach nasilenia nędzy pożyczal on naturalnie drobne sumki, ale jego prośba o pożyczkę była ubrana w jakąś fantastyczną formę, niby z nowel Poego.

— Poznałem — powiedział — wczoraj na wystawie w Zachęcie uroczą Peruwiankę. Byłem z nią na kolacji w „Europie“. Wydałem całą gotówkę, potem pokazywałem jej swoje zbiory. Nad ranem dała mi swe usta i ten oto storczyk. Kiedy szedłem dziś w południe głodny i bez grosza, myślałem — oto idzie człowiek, który nie miał dziś nic w ustach prócz pocałunku i który ma najpiękniejszy kwiat w Europie — mówił pokazując odpowiedni storczyk. — Czy może mi pan pożyczyc do jutra dwa ruble?

Potem wyciągał kawałek jakiegoś patyka i podsuwając mi go pod nos mówił: — to mahoń, ja innym drzewem nie palę.

Dalszy ciąg nastąpi

SWIAT KSIĄŻEK ■ SWIAT KSIĄŻEK ■ SWIAT KSIĄŻEK ■ SWIAT KSIĄŻEK

NERUDA PO POLSKU

HIERONIM MICHALSKI

KIEDY w r. 1948 Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu uchwalił protest przeciwko prześladowaniu Pablo Nerudy przez dyktaturę faszystowską w Chile, nazwisko poety nie było w Polsce obecne. Czasopisma przynosiły już od pierwszych lat po wyzwoleniu przekłady jego utworów, zwracających na siebie uwagę niezwykłością wyrazu i oryginalnością. Otaczająca Nerudę sława najwybitniejszego zjawiska poetyckiego Ameryki Południowej wykraczała też coraz bardziej poza szczytły krag literacki, ogarniała szerokie rzesze czytelników.

Wieleś o walce, jaką Neruda podjął w Chile przeciwko dyktaturze faszystowskiej, ostarającej machinacje imperialistów amerykańskich, uwidocznily własniaw rolę i znaczenie wielkiego poety i zarazem działacza politycznego. Kiedy zaś Neruda, zmuszony w odczynie do ukrywania się przez przeszło rok, wymknął się pościgowi i zjawił się w r. 1949 na Pierwszym Światowym Kongresie Pokoju w Paryżu — głos jego rozbrzmiał z nieskrepowaną siłą. Plomienna jego poezja rozchodziła się w przekładach po całym świecie. Dzisiaj nazwisko Nerudy, który za swoją działalność otrzymał w r. 1950 nagrodę Światowej Rady Pokoju, w r. 1953 zaś nagrodę Stalinowską „Za utrwalanie pokoju między narodami“, otoczone jest powszechnym szacunkiem.

Pięknym dowodem popularności Nerudy w Polsce może być fakt, że kiedy przebywał u nas jesienią 1950 r. i wracał z Muzeum Lenina w Ponorlinie, młodzież, która go poznała, zatrzymała samochód, aby porozmawiać z poetą i wyrazić mu swoje uwielbienie. Podobnych faktów można by przytoczyć więcej. Niewątpliwie jest jednak, że popularność Nerudy jako bojownika o pokój wyprzedziła w naszym społeczeństwie znajomość jego twórczości. Na tym zatem polu dużo jest do odrobienia.

Z uznaniem należy jednak podkreślić, że sprawa ta nie jest bynajmniej zaniedbana, gdyż przygotowuje się z wielką pieczołowitością wydanie dzieł Nerudy. W ostatnim czasie obok licznych przekładów pomieszczonych na łamach czasopism ukazały się w dru-

ku, nakładem „Czytelnika“, w pięknej szacie wydawniczej, ozdobione rysunkami T. Kulisiewicza, dwie książki Nerudy: poemat „NIECH SIĘ ZBUDZI DRWAŁ“ w przekładzie młodego poety Lecha Piłanowskiego oraz cztery poematy „TAM UMARŁA ŚMIERĆ“ w przekładzie znakomitego pisarza Jarosława Iwaszkiewicza. Dla informacji warto dodać, że tom „Nlech się zbudzi Drwał“ wydany został także oddzielnie w bibliotece świetlicowej CRZZ w opracowaniu dla zespołów recytacyjnych. Już i ten pierwszy plan zamierzeń wydawniczych otwiera przed twórczością Nerudy, znaną nam dotąd tylko urywkowo z pism, większą możliwość oddziaływania. Twórczość ta, niezależnie od pewnych trudności, wynikających z odrębnych właściwości jej formy narodowej, znajduje też na pewno wśród naszych czytelników oddźwięk, jakiego jest godna.

Siła poezji Nerudy tkwi w tym, że stanowi ona niepodróżną część działalności społecznej i politycznej i że w jednakowym z nią stopniu wyrasta bezpośrednio z walki, jaką toczy lud chilijski. Jest to walka o niezawisłość kraju, poddanego przez rodzinną reakcję pod jarzmo imperializmu Stanów Zjednoczonych, i zarazem walka z feudalami i kapitalistami o ustrój sprawiedliwości społecznej. Poeta, który już w okresie wojny hiszpańskiej występował jako antyfaszysta i wyrażał postępowe poglądy w czasie ostatniej wojny światowej, po zakończeniu wojny złączył zdecydowanie swoje dążenie ze sprawą ludu. Droga służby ludowej zaprowadziła z czasem Nerudę do partii komunistycznej, a twórczość jego nasyliła prawdą życia i żarliwością idei.

Główne dzieło Nerudy — „PIESN POWSZECHNA“, maluje w szerokich i pełnych rozmachem obrazach warunki życia mas ludowych, ich poniewierkę i nędzę, a również ich bohaterską walkę przeciw terrorowi reakcji. Specjalne miejsce zajmują wątki, w których poeta ukazuje najpiękniejsze momenty tradycji narodowej Chile, tradycji podjętej i rozwijanej godnie przez lud, który w obecnych warunkach jest właściwym

reprezentantem narodu. Z miłości do ziemi rodzinnej i jej ludu, z troski o losy ojczyzny i gniewu na wrogów wolności i pokoju wyrasta ta olbrzymia pieśń Nerudy, która dzięki swym treściom stała się prawdziwą epopeją ludu chilijskiego.

Poemat „Nlech się zbudzi Drwał“ stanowi końcowy człon epickiej części „Pieśni powszechnej“. Ten wyjątkowy w swojej żarliwej ideowości i niezwyklej sugestii artystycznej utwór może być dowodem, jak istotny patriotyzm ludowy spłata się mocno z internacjonalizmem. Widać tu wyraźnie, że troska o wolność kraju ojczystego wiąże się ściśle z troską o wolność wszystkich narodów i że walka o pokój i sprawiedliwość łączy z sobą wszystkie siły postępu na całym świecie.

„Tam umarła śmierć“, druga książka Nerudy, którą otrzymaliśmy w przekładzie na polski, obejmuje cztery poematy, poświęcone Polsce, Związkiowi Radzieckiemu, Chinom oraz Hiszpanii. Poemat o Polsce powstał pod wrażeniem pobytu poety w naszym kraju. Wspominając martyrologię, jaką przeszedł nasz naród w czasie wojny i okupacji, i przeżywając z serdecznym uczuciem nasz wysiłek i entuzjazm odbudowy, poeta zamyka swoje wrażenie w metaforycznym skrócie: „TAM UMARŁA ŚMIERĆ“, oddającym najsymowniej istotę obserwowanych przeobrażeń.

O Związku Radzieckim pisał Neruda już podczas wojny, opiewając bohaterstwo Stalingradu, które sprawiło, że „pęki węzeł zacisnęły na szyi historii“, sławiąc zwycięstwa Armii Radzieckiej, podkreślając znaczenie Rewolucji Październikowej i wielką rolę i wzór Kraju Rad w budownictwie socjalizmu i pokoju. Poemat „ZSRR“ napisany został, gdy poeta po raz pierwszy odwiedził Związek Radziecki. Jest to przepojony głębokim wzruszeniem cykl liryczny, który, uwydatniając ogólny charakter Kraju Rad, gromadzi różnorodne impresje i postrzeżenia o ziemi radzieckiej, jej ludziach i ich sprawach, o życiu i pracy, kulturze i przyrodzie.

W utworach książki „Tam umarła śmierć“ forma poezji Nerudy uległa pewnej zmianie. Poprzednie szerokie rytmy, podobne do werbetów psalmowych, ustąpiły teraz miejsca rytmom krótkim i bardziej ostrym w swoim toku, znakomicie oddanym przez Jarosława Iwaszkiewicza, któremu powiodło się w przekonywający sposób zbliżyć wolny wiersz Nerudy do tego typu, jaki znamy w naszej



tradycji, np. u Kasprowicza. Niezależnie jednak od tej widocznej już na pierwszy rzut oka nowości w formie Nerudy, została w niej nadal niezmienną charakterystyczną rozległość wyrażenia i upodobanie do długich, rozbudowanych szeroko zdań. Ten typ rozległości, związany ze spleśnieniem obrazów i określeń, może niekiedy, zwłaszcza w początkach znajomości z poetą, utrudniać obcowanie z jego utworami. Ale po pokonaniu pierwszych przeszkód działać będzie w nieodparty sposób sugestii artyzmu, głęboki ton uczuciowy i bliskie treści ideowe.

Siła idei właśnie, wsparta niepospolitym talentem poetyckim, dała twórczości Nerudy namioną wielkość. Idea sprawia, że poezja ta, służąc sprawie ludu chilijskiego, służy sprawiedliwym dążeniom wszystkich ludów.

Dla tych, którzy zainteresują się poezją Nerudy, warto jeszcze wskazać wydany przez „Wiedzę Powszechną“ przekład książeczki radzieckich pisarzy W. Kuteżczikowej i A. Szejtina „Pablo Neruda“, dającej w sposób bardzo popularny i wyczerpujący informację o życiu i twórczości wielkiego poety.

ŚLADEM NIEWIDZIALNEGO WROGA (1)

„NA TYFUSACH“

PAWEŁ JASIEŃCZA

rys. A. JURKIEWICZ

CIEŻKIE, blachą obite drzwi szczerzeły za nami głucho. Idziemy wąskim korytarzykiem pod światło bijące z okna. Nie zdążyłem się jeszcze przyzwyczaić do przydługiego trochę fartucha szpitalnego i muszę teraz dobrze wyciągać nogi, by dotrzymać kroku przewodnikowi, który mknął, jak na pożar. Zamaszystym ruchem otwiera teraz drzwi po lewej ręce.

— Jest pani doktor?

Przez dłuższą chwilę brakło odpowiedzi. Trzy osoby zajęte pracą w wielkiej, pustawej i lśniącej od białości sali trwały pochylone nad jakimiś przyrządami. Czekaliśmy cierpliwie na próg.

Młody człowiek siedzący przy stole pod ścianą podniósł nareszcie głowę, wyprostował się i błysnął ku nam okiem, jak mi się zdawało, niezbyt życzliwym.

— Na tyfusach! — rzucił przez ramię i natychmiast znowu odwrócił się plecami.

— Musi się pan przyzwyczaić do metod, obowiązujących w tej pracowni — tłumaczył mi przewodnik, kiedyś w odwrotnym kierunku przemierzali ów wąski korytarzyk. — Tutaj nie wolno się odzywać, póki dokonywany zabieg nie zostanie ukończony. Toteż proszę się nie gorszyć, jeżeli zada pan pytanie, a odpowiedź otrzyma dopiero po ładnej chwili. Mogą też przypadkiem wcale panu nie odpowiedzieć. Zdarza się i taka koncentracja uwagi, że pytanie pańskie w ogóle nie dotrze do świadomości pracownika.

„Na tyfusach“ pani doktor, kierowniczką wielodziałowego laboratorium, także nie było. Nie szukaliśmy już dłużej. Mogła przecież być na konferencji u profesora albo pójść do któregoś z licznych działów ogromnego Zakładu.

— Nic nie szkodzi, i tak przecież wszyscy u nas wiedzą, że się pan kręci po pracowniach. Zostawiam pana na opiece panny Zosi — orzekł młody naukowiec, który mnie tu przyprowadził.

Słyszałem jak trzasnął zamczystymi drzwiami i zadudnił po schodach. Spieszyło mu się pewnie do tamtych probówek, które przed kwadransiem włożył był do ciepłarki.

Usiadłem sobie grzecznie przy stole, pilnie zważając, by się nie oprzeć o jego szklaną powierzchnię i nie trącić czasem któregoś z licznych naczyń. Dopiero co wzmiankowane obyczaje tego laboratorium ogromnie ułatwiły pierwsze chwile nowej znajomości. Można było milczeć i do woli przyglądać się działaniom pracowniczki, której tytuł naukowy nie zdążył jeszcze okryć się czcigodną patyną, pleśnią ani nawet kurzem. Tej samej godziny zaryzykowałem parę niedyskretnych pytań i ustaliłem, że na dyplomie magisterskim biologa Zofii Nawockiej jaśnieje data: rok 1953.

Tuż przed nami szumiał na stole palnik gazowy, w kącie sali monotonnie terkotała wolnoobrotowa wirówka. Raz za razem wsuwał się w płomień, rozżarzając do czerwoności, długi i cienki pręcik metalowy, osadzony na drewnianej rękojeści i zakończony kolistym uszkiem. Jest to tak zwana „eża“, przyrząd, którym się sięga w groźną głębi probówek, dotyka rzeczy oraz istot, których same nazwy sięją popłoch.

Wiedzialem już, że krawędzie otwartej probówki należy wsunąć na moment w ogień palnika. W tej pracowni norma ostrożności podwyższona została o sto procent: język płonącego gazu obliżywał korek jeszcze przed jego wyjęciem z otworu naczyń.

Zewnętrzna powierzchnia którejś tam z rzędu ampułki okazała się mokra. Stało się to chyba z winy posługaczki, która nieuważnie widać przenosiła preparaty ze szpitala. Mgr Nawocka natychmiast wstała od stołu, starannie oplukała dłonie w jakiejś szklanej misce, a potem długo myła je wodą z mydłem.

Fragment książki, która ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

— Tak, u nas trzeba bardzo uważać — uśmiechnęła się wdzięcznie, wracając do roboty.

Jeszcze głębiej wsunąłem ręce w kieszenie białego fartucha. Sam już nie wiem, który raz z rzędu wytarłem je o gładkie płótno. Oto sześć lat mija od czasu, kiedy po raz pierwszy wybrałem się na reportaż do Jędrzycy, a wciąż jeszcze nie mogę się w tych okolicznościach pozbyć przykrego uczucia strachu przed własnymi dłońmi, którymi się przecież dotyka tutejszych przedmiotów, chociażby krzesła, drzwi, czy klamek. Ciekaw jestem, czy fachowcy doświadczają na początku podobnych emocji i kiedy następuje u nich zobojętnienie?

Należy przypuszczać, że dosyć szybko. Taki przynajmniej wniosek wynikać się zdaje ze sposobu zachowania się i pracy mojej nowej znajomej. Młodziutkie to stworzenie, typowe „dziewczkę polską“ o bujnych blond włosach i świeżej cerze, ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy wydobywa z jednej probówki i przenosi do drugiej jakiś walcowaty, maziasty, ciągnący się skrzep. Eż, która posłużyła do tego działania, trzeba było długo otrząpywać o ścianki naczyń — kleista substancja nie chciała się odlepieć.

Teraz Nawocka sięga do statywu, w którym mieści się kilka probówek krótkich i dość szerokich. Ze spodów ich korków wystają metalowe łyżeczki, zanurzone w zawartości probówek.

— Proszę, niech mi pani powie, ale tak zupełnie szczerze, nie brzydzi się pani ani trochę?



— Wie pan... w pierwszych dniach pracy... owszem — zwłaszcza ten właśnie kał. Ale potem przyzwyczaiłam się. Pracuję przecież już półtora roku — zakończenie odpowiedzi zabrzmiało akcentem dumy.

Tak, ale za to ja siedzę tu dopiero od dwóch godzin i dlatego musiałem sobie wymyślić metodę psychicznego „odskoku“. Początkowo polegała ona na przyglądaniu się preparatom kątem zmrużonego oka — byle tylko nie spojrzeć na wprost! Potem doszedłem do wniosku, że trzeba jednak skapitulować i posłuszenie zastosować się do recepty, jakiej mi dwa dni wcześniej udzielił docent Feliks Milgrom. Kazał mi on przyglądać się kastracji doświadczalnego królika i w czasie trwania zabiegu przygadywać!

— Pewnie, pewnie! Dla nie-lekarskiego oka nie bardzo budujący widok. Pan by wołał oglądać jaśminy!

Mgr Nawocka skończyła z tamtymi probówkami i przysuwa do siebie płaski spodeczek szklany, tzw. „płytkę Petriego“. Leży na niej coś w rodzaju niewielkiego woreczka o barwie musztardy, związanego u końca cienkim, lecz mocnym sznurkiem. W płomień palnika wsuwa jej ostre nożyczki oraz pince. Dotknięta nimi powierzchnia woreczka ugina się, podaje, widać od razu, jak się przelewa wewnętrzna zawartość. W

niewielki otwór wykrojony nożyczkami zanurza się uszko eży. Kropla gęstego, żółtego płynu uwiesza się na nim i zaraz trafia na płytkę z pożywką stałą, która wygląda jak zakrzepły kisiel. Następna kropla zostaje przeniesiona do probówki z pożywką płynną, całkiem podobną do zwykłego bulionu.

Tym razem przyglądałem się wszystkiemu bardzo pilnie, ale o nic nie pytałem, pewien, że wyjaśnienie i bez tego otrzymam. Nastąpiło ono zaraz, jak tylko dopiero co wspomniane przedmioty i przyrządy wróciły na właściwe miejsce:

— Jest to, widzi pan, woreczek żółciowy rocznego dziecka, zmarłego bardzo niedawno temu. Podejrzuje się, że śmierć nastąpiła wskutek tyfusu brzuszego. Z polecenia Zakładu Anatomii Patologicznej dokonujemy wysiewu żółci na pożywkę. Właśnie ogląda pan tę czynność. Chodzi o stwierdzenie, czy podejrzenie było słuszne i czy na tych pożywkach rozwijają się zarazki duru brzusznego.

— Bakterie duru brzusznego — w żółci?

Informatorka uśmiechnęła się nieznacznie.

— Wie pan, swojego czasu mieliśmy tu, we Wrocławiu, pacjenta, który przez pół roku chorował na ten tyfus. W kale jego w żaden sposób nie można było stwierdzić bakterii durowych. Po prostu nie było ich tam. Znalazły się za to we krwi oraz w płucach. I tak bywa. Pokój ten — to pracownia durowa. Bada się tutaj wyłącznie tę chorobę. Lecz przysyłają nam do analizy nie tylko sam kał, ale także ślinę, żółć, moc, a zwłaszcza krew.

— A wypadki duru plamistego często stwierdzacie?

sprawdzić, czy w przezroczystym (dla gołego oka) płynie nie wystąpiły czasem owe lekkie kłaczkowate grudki.

Podniósłem się z krzesła ciężko, jakbym worek z ziemniakami miał na plecach. W dość chaotycznych słowach wyraziłem wdzięczność pani magister, po której jakoś nie znać było najmniejszego zmęczenia.

— Czy pozwoli pani, że przed wyjściem umyję ręce? — zapytałem przezwyciężając obawę śmieszności.

— Ależ naturalnie, proszę bardzo. Prawdę mówiąc, bez tego nie wypuściłabym pana stąd. Tylko przed myciem wodą i mydłem będzie pan łaskaw wypłukać dłonie w lizolu.

Zatrzymałem się na platformie obok tamtych zamczystych drzwi. Trzeba było wypalić nareszcie papierosa i zastanowić się, co by tu i jak na gorąco jeszcze zapisać w notiesie.

Zastukały po schodach obcasy i na kręcie ukazała się szczupła i ruchliwa blondynka, ubrana w biały, dobrze leżący kitel.

— Więć już i do nas pan trafił? — odezwiała się miłym lwowskim akcentem, z wyraźną nutą życzliwości w głosie. — Widzę, że fartuch panu dali i, mam nadzieję, pokazali coś niecoś ciekawego.

— O, bardzo, bardzo ciekawe. Ogronomie interesujące rzeczy — sapnąłem, rozpoczynając przeprosiny za wtargnięcie do laboratorium w czasie nieobecności władzy.

— Nic nie szkodzi. Byłam u profesora na naradzie. A proszę jeszcze kiedyś zajrzeć, to pogadamy — powiedziała na pożegnanie dr Janina Zopoth, znikając za drzwiami swojej groźnej pracowni.

Pracownia nosi nazwę Oddziału Diagnostyki i codziennie przyjmuje cały materiał chorobowy ze wszystkich lecznic, stanowiących Państwowy Szpital Kliniczny we Wrocławiu. Od rana już obserwowaliśmy na tych schodach białe ubrane postacie sióstr i posługaczek. W brzęczących od szkła statywach znosiły tu one krew, moc, wszelkie wydzieliny, w których należało wykryć, zidentyfikować i nazwać bakterie.

Jednego z dni następnych tutejsza pracowniczka, mgr Danuta Mądra, pokazała mi płytkę z pożywką stałą. Na jednym i tym samym polu widniały trzy wyraźne się różniące, dobrze już rozwinięte — podobne do wysypki czy skupisk drobnitkich pęcherzyków — „kolonie“ trzech rozmaitych gatunków bakterii. Początkowo nie mogłem zrozumieć w jakim celu pomieszano je ze sobą.

Niechże pan tylko nie zapomina o chorym, który jest gdzieś tam w Klinice i któremu musimy pomóc — usłyszałem w odpowiedzi. — Na tej pożywce posialiśmy wymaz z jednego gardła, który zawierał, jak się okazało, te oto bakterie. Ma pan przed oczyma obraz faktycznego stanu rzeczy, jak gdyby odbitkę tego, co tamten ma w gardle.

Oprócz osób poprzednio Czytelnikowi przedstawionych pracują tutaj stale: dr Jadwiga Maresz, mgr Halina Kowalska i student Roman Mysłowski. To on warknął owo „na tyfusach“ i niechętny podsunął mi tytuł tego rozdziału.

Oprócz tyfusów, pod mikroskopami tej pracowni obejrzeć można wszelkie bakterie, jakie niszczą organizmy ludzi, śpieszających do wrocławskich Klinik po ratunek. Bada się tutaj wszystko — od rzeżączki aż po szkarlatynę. Stąd właśnie lekarze-klinicyści otrzymują odpowiedź na pytanie: jaki wróg działa w ciele chorego?

Oddział Diagnostyki można więc w przenośni określić jako wrota, którymi wszelki materiał chorobowy wkracza do Zakładu Mikrobiologii Lekarskiej Akademii Medycznej we Wrocławiu. Dyrektorem Zakładu — który wkrótce ma być przemianowany na Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk — był do chwili śmierci profesor Ludwik Hirszfild.

Niezbyt ściśle wyraziłem się przed chwilą, pisząc, że w Oddziale Diagnostyki bada się „wszystko“. Dla niektórych zarazków uczyniono wyjątek. Probówki, których zawartość mięciak może prątki gruźlicy albo wywołujące kile krętki blade, odsyła się, po zarejestrowaniu w grubej księdze, do innych laboratoriów w tym samym gmachu.

Chcąc się przekonać, co się z tymi probówkami i bakteriami dalej dzieje, trzeba zejść po schodach w dół, na drugie i pierwsze piętro rozległego budynku i wśród mnóstwa sal i pokoi odszukać Dział Immunologii Szczegółowej oraz Dział Antybiotyków i pracownię gruźlicy.

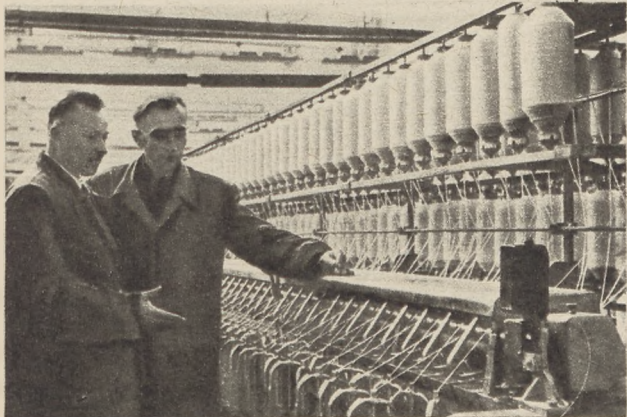
Dalszy ciąg nastąpi

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

FOTO

POWTÓRNY RENESANS PIOTRKOWA



Wrzeczona dają cieką i mocną nić

Stary Piotrków Trybunalski dwukrotnie przeżywał swój wiek odrodzenia. Raz było to w czasach, gdy do Polski zawitał renesans, ten, o którym powiedział Engels, że był to „największy przezwrot postępowy, jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła”, i po raz drugi... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

W pierwszych dniach stycznia 1945 r. robotnicy „starej przedziałni” rozejrzeli się po ruinach i zgłiszczach i zabrali się do porządkowania terenu. Powiedzieli, że odbudują swoją fabrykę. Dobrych murarzy i cieśli w Piotrkowie i okolicy nie brakło nigdy. W r. 1949 zakończono odbudowę i przebudowę ocieplonych murów.

Decyzja robotników znalazła zrozumienie władz. Zapadła uchwała: w Piotrkowie powstanie wielki kombinat włókienniczy, filia centralnych zakładów przemysłu bawełnianego w Łodzi.

1 maja roku 1950 rozpoczęła się budowa, a 6 listopada 1951 r. ruszyła najnowocześniejsza przedziałnia cienkoprzędna w gigantycznej hali nowego kombinatu.

Dzień uruchomienia przedziałni stał się prawdziwym świętem dla tysięcy robotników Trybunalskiego Grodu.

Kombinat rozpoczął nowe życie sennego do niedawna Piotrkowa — „miasta emerytów”, zaczął tworzyć nowych ludzi.

Zofia Krawiec jest jeszcze bardzo młoda, tak jak 30% jej towarzyszy pracy. Na piersi jej błyszczą Odznaka Przewodnika Pracy. Dziewczyna opowiada z uśmiechem. Pochodzi z Zawady pod Zamostem. Ze wsi. Ojciec, chłop matorolny, już w latach, chory. Z tego, co zarobi Zofia, wystarczy, aby mu posłać ile trzeba.

Zofia Krawiec była delegatką młodzieży Piotrkowa na zlot bukareszteński.

Kombinat piotrkowski dał młodej wiejskiej dziewczynie szkołę i pracę, możliwość dalszej specjalizacji w swoim zawodzie, bibliotekę, świetlicę, warunki do udziału w życiu sportowym i artystycznym zakładów: kombinat wreszcie dał jej możliwości otoczenia należytą opieką chorego ojca.

Kombinat wniósł nowe życie w mury starego miasta. Decyzja „starej” załogi w styczniu 1945 r. wsparta decyzją władz Polski Ludowej tworzy nowych ludzi, powtórny renesans siedmowiekowego grodu.

Karol Kozmiński

W GÓRACH JESZCZE ZIMA...



Saneczki mają także wiele uroku

Wydział Rolnictwa WRN we Wrocławiu przyjmuje codziennie telefonogramy: powiat świdnicki zasiał już tyle a tyle pszenicy, owsa... Powiat wałbrzyski rozpoczął białe wiosenną... Traktorzysta z POM w Sobiecinie, Tadeusz Kubicki, wyrabia dziennie dwie, a nawet trzy normy... A tymczasem wysoko w górach, na południowych krańcach woj. wrocławskiego jeszcze króluje zima.

W Karpaczu już śniegu dawno nie ma, lecz na drodze ku „Samotni” nad Małym Stawem spotkać można jeszcze wielu narciarzy. W południe co prawda ruch narciarski trochę słabnie, bo kwietniowe słońce topi lodową powłokę, a śnieg staje się lepki, ale przed wieczorem i rano zjazdów i sialomy ożywiają ośnieżone zbocza gór.

Z. F.

Zdjęcie: Kuperman

PRZODUJĄCA SZKOŁA ZAWODOWA W ZALUTYNIU



Zespół taneczny zalutynskiej szkoły

Świetlica Zasadniczej Szkoły Zawodowej Metalowo-Drzewnej w Zalutyniu (pow. Biała Podlaska) była niedaw-

no miejscem uroczystej nara- dy produkcyjnej przodują- cych uczniów i nauczycieli Zasadniczych Szkół Zawodo- wych okręgu lubelskiego.

Na naradę przybyło rów- nież kilkunastu absolwentów zalutynskiej szkoły zatrud- nionych w FSO na Zeranlu, FSC w Lublinie i innych za- kładach przemysłowych, gdzie zdążyli zasłużyć na miano przodujących fachowców.

Powodem tak licznej i uroczystej zjazdu było wrę- czenie sztandaru przechod- niego DOSZ, zdobytego przez zalutynską szkołę w I etapie współzawodnictwa. Przodują- ca brigada uczniowska i przodownik nauki Ryszard Stefaniuk otrzymali propor- czyki, a wielu wzorowych uczniów nagrodzono piękny- mi książkami.

Zalutynska szkoła powsta- ła w r. 1946 i dotychczas od- dała zakładom metalowym i drzewnym 6 roczników do- brze przeszkolonej młodzie- ży. Świadczą o tym zarówno

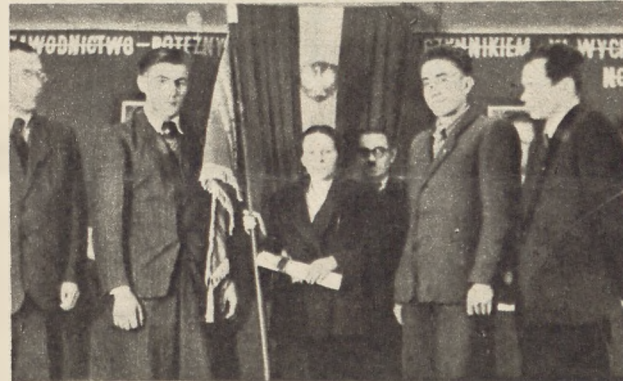
listy pochwalne nadsyłane do szkoły przez kierownictwa zakładów zatrudniających ab- solwentów zalutynskich, jak i liczne prośby o skierowanie do pracy młodzieży kończą- cej naukę.

Wielu absolwentów zalu- tynskiej szkoły pogłębia zdo- byte tu wiadomości fachowe i staje się wysoko kwalifiko- wanymi fachowcami. Tak np. Stanisław Byczek, frezer z FSO, specjalizował się w gor- kowskich zakładach przemy- słu samochodowego w ZSRR, wielu uczniów kształci się w średnich szkołach technicz- nych, a kilku kończy wyższe studia.

Działalność szkoły nie za- miera bynajmniej w okresie wakacyjnym. Wielu uczniów w okresie zainicjowanego przez siebie „pogotowia żniw- nego” zgłasza się do prac warsztatowych. Remontują oni uszkodzone maszyny żniwne i omiotowe. Akcja ta zyskała sobie uznanie całej okolicy.

Swoją piękną rozwój zaw- dziecza szkoła nie tylko wy- tężonej pracy personelu pe- dagogicznego i wzorowej po- stawie uczniów, ale również i wydatnej współpracy Kom- itetu Rodzicielskiego.

F. Praszczan, Biała Podlaska



Sztandar Przechodni — zaszczytne wyróżnienie we współzawod- nictwie międzyszkolnym — znalazł się w rękach młodzieży z Zalutynia

DZIELNA DIN

Teatr Lalki i Aktora w Wał- brzychu może poszczycić się nowym, artystycznym osią- gnięciem. Wystawiono tu ba- kę pisarzy radzieckich Di- manta i Zelcera pt. „Dzielna Din”.

Lalki wykonane przez pla- styka Zdzisława Tuczyński- go i piękne dekoracje wpro- wadzające w atmosferę starej chińskiej legendy przyczyni- ły się w wielkiej mierze do sukcesów, jakie odnosił te- atrzyk nie tylko w Wałbrzy- chu, ale także i we Wrocław- iu.



„Dzielna Din” w wałbrzyskim teatrzyku

Zbigniew Fin

O WYŻSZY PŁON Z HEKTARA

POM — Warnica, jako przo- dujący zespół w woj. szczecińskim, otrzymał proporzec przechodni.

Osiągnięcia swoje zawdzię- cza POM — Warnica takim przodownikom, jak kombaj- ner Domański wyrabiający 380% normy, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, trak- torzysta Goleniec — odznaczony

Srebrnym Krzyżem Zasłu- gi i agronom Zbońkowski.

Przodujący POM-owcy na uroczystości wręczenia prop- orca przechodniego wezwali do współzawodnictwa o zwiększenie plonów z hektara w r. 1954 — wszystkie POM-y woj. szczecińskiego.

S. Cieślak, Szczecin



Muzyką, pieśnią i tańcem uświetnił wielki dzień POM-owców zespół artystyczny Szczecińskich Zakładów Włókien Sztucznych.

TARGI PAŁUCKIE

Organizowane co kwartał przez PZGS i GS-y Targi Pa- łuckie mają już ustaloną opi- nię nie tylko na terenie po- wiatu żnińskiego.

Szczególnie dobrze udały się ostatnie — V Targi Pałuc- kie. Kioski i stoiska stoisk bogato w towary różnego rodzaju obiegły całe dnie tłumy kupujących. A że Tar-

gi połączone ze spędem trzo- dy oraz skupem innych arty- kułów rolniczych, okoliczni chłopcy mogli załatwiać rów- noześnie zarówno kupno, jak i sprzedaż.

Nawet deszcz padający dru- giego dnia Targów nie odstra- szał klientów załatwiających wiosenne sprawunki.

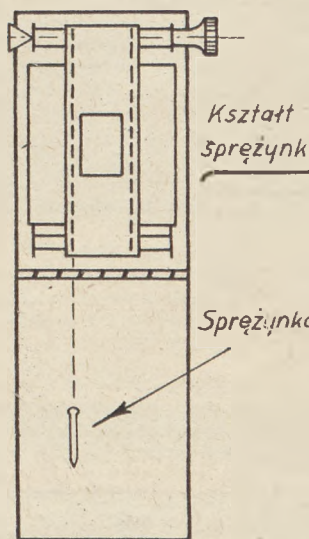
J. Księcki, Żnin



Okoliczni chłopcy przybyli do Żnina po wiosenne zakupy

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

CZYTELNICY PISZĄ...



Niedawno (patrz „Świat” Nr 5 z dn. 31.I.) pisaliśmy o sposobie przystosowania aparatu 6 x 9 cm na film 35 mm według pomysłu St. Lewańskiego z Wro- cławia. Pomysł ten wywołał wielkie zainteresowanie na- szych Czytelników, którzy na- desłali również swoje ulepsze- nia i uzupełnienia tego sposobu adaptacji.

Piotr Lasota, uczeń IX klasy P.S.O. w Oliwie, pisze nam, jak uniknąć przesuwania filmu „na oko”, przez co marnuje się pew- nien odcinek taśmy filmowej. Ulepszenie jego polega na u- mieszczeniu w tylnej, odejmo- wanej ścianie aparatu małej sprężynki na wysokości perfor- racji filmu, tak, ażeby sprę- żynka jednym końcem zaczę- piała o otwórki filmu. Przeska- kując przez każdą dziurkę per- foracji sprężynka stuka i dzie- więć takich stuknięć daje praw- dowy odcinek „klatki” fil- mowej wraz ze stałym, równym odstępem, co pozwala na wy- korzystanie pełnej długości taśmy.

Tak więc, dzięki ulepszeniu P. Lasoty, nie przesuwamy taśmy „na oko”, lecz „na ucho”, unikając nierówności odstępów lub nakładania się wzajemne- go obrazów negatywu.

C. Jok z Bytomia podaje wzór na dokładne wyliczenie wiel- kości okienka celownika, który dostosować musimy do nowego rozmiaru negatywu.

$$W = \frac{D \cdot w}{f} \quad S = \frac{D \cdot s}{f}$$

W — poszukiwana wysokość zewnętrznego okienka celownika
S — poszukiwana szerokość tego okienka
D — długość celownika
w — wysokość obrazu na negatywie
s — szerokość obrazu na negatywie
f — ogniskowa obiektywu
Np. w aparacie „Altissa” na format 6 x 6 cm długość celow- nika od ramki do wzornika wynosi 58 mm, ogniskowa obiek- tywu — 70 mm. Chcąc przystosować ten aparat do taśmy 35 mm, gdzie obraz ma rozmiary 24 x 36 mm, po obliczeniu wg powyższych wzorów

$$W = \frac{58 \cdot 24}{70} = 20 \text{ mm} \quad S = \frac{58 \cdot 36}{70} = 31 \text{ mm}$$

na celownik aparatu musimy założyć maseczkę tak, aby jego nowe rozmiary wynosiły 20 x 31 mm.

DZIESIEĆ OPOWIADAŃ LIRYCZNYCH



Gdy minęli pagórek nad łąkami słońce poczęło im świecić prosto w twarz, a od wody Olszanki też w pewnej chwili odbiły się jego promienie oślepiającym blaskiem.

Michał osłonił oczy, przystanął, jakby mu nagle zabrakło tchu. Patrzył, nie mrużąc już powiek, na widok od tak dawna pamiętny i bliski, jak twarz matki i głos ojca, jak pierwszy ból i pierwsza radość. Droga schodziła tu w dół, by pod nasypem kolejowym roz-

widlić się i jednym ramieniem umknąć w tunel, a drugim, krętym, białym, zniknąć w nadrzecznych wierzbach. Po lewej stronie, wcinając się w ściernisko, schodził ku drodze las — leszczyny jeszcze zieleniały, ale buki i graby już rozpalila jesień czerwonym i żółtym ogniem.

Ludwika podniosła oczy na twarz męża. Wierzyła do tej chwili, że potrafi powstrzymać wszystkie gorzkie słowa, że jeśli nawet zapłacze, to tylko z żalu pożegnania — bez gniewu i złości.

Twarz męża jednak była teraz niezmiernie daleka i obca — jakby nie miał już nigdy powrócić. Lekko rozwarłszy usta patrzył w dolinę na drogę i rzekę, takimi oczami, jakimi w czas głodu ludzie patrzyli na chleb.

Nagły płacz odebrał jej oddech jak uderzenie kamienia. Musiała krzyknąć:

— Zawsze! Zawsze byłęś taki! Każdy obcy miał od ciebie więcej niż ja!

Michał ostrożnie postawił kuferek na drodze i pochyłając się zajrzał jej w oczy.

— Podprowadzisz mnie jeszcze? — spytał.

Umilkła. Stała bez ruchu i słowa, z opuszczonymi wzdłuż bioder rękami, patrząc przez gęstą mgłę leż na twarz swego męża i kochanka, żywiciela i opiekuna, na jego jasne grube brwi, duże niebieskie oczy, na zawsze nieco opierzchłe wargi, na policzki zawsze zmaśczone, jak tuż przed uśmiechem.

Michał bez słowa przeniósł kuferek na skraj drogi, rozścielił na trawiastym brzegu rowu kurtkę, zapalił papierosa.

— Siadź — powiedział — ręka mnie boli od kufra.

Sam usiadł i znowu zapatrzył się w łąki nad Olszanką. Potem pochylił się ku ściernisku, które pod lasem poczęto już dziś rano orać, wyrwał żytne korzonek wraz z grudką ziemi, podrzucił na dłoń.

— Nie płacz — powiedział — nie pomoże to tobie ani mnie. Wojna się kończy i prędko tu wrócę.

Ona jednak nie chciała się poddać. Znowu wróciła nadzieja, że może właśnie gniew, krzyk i obelgi zawrócą męża z wojennej drogi. Uderzyła go w pierś pięścią. Oczy pojaśniały jej w gniewie jeszcze bardziej, jak od łez.

— Przecież nie musisz iść! — krzyknęła zrywającym się głosem — Melnik i Józefiński poszli do lasu i nikt nawet o nich nie spytał. Oni w wojsku też wiedzą, że wojna się kończy i w kajdanach na front ciebie nie pociągną. Dziecko ma się urodzić... przebaczą. Michał! — wołała — Michał! Zawróć! Nie krzywdź mojej miłości, nie krzywdź dziecka. Poprowadzą cię pod armaty, pod bomby i nawet twoja dusza do mnie nie wróci!

NADZIEJA



WCZORAJSZEGO wieczoru nad miastem wybuchła strzelanina. Serca kurczyły się boleśnie, a oczy wierały przerażenie, póki przez pustynne wąwozy ulic, przez okopy ruin i ptasie ścieżki nie dotarła wszędzie wieść, od której również kurczyły się serca, rozwierały szczęściem oczy: oto pierwszy wieczór pokoju.

Teraz nad Warszawą wstaje pierwszy dzień pokoju: słońce rozprasza mgły, odbija się w wiślanej fali i w dalekich oknach Pragi. Wczesne słońce jest natarczywe — nie pozwala spać.

Anna otwiera oczy z tym szczęśliwym niepokojem, który czasem przynosi nam sen: w pierwszej chwili nie może sobie przypomnieć co się takiego pięknego wczoraj zdarzyło. Dopiero po kilku sekundach wraca wspomnienie i orzeźwia, rozbudza, przyspiesza obieg krwi. Wtedy musi się wstać, podbiec do okna, rozewrzeć je, spojrzeć w oczy światu. Dłonie są rozpalone, oczy chci-

we na słońce i od serca po całym ciele płynie niecierpliwa radość.

Anna szybko zrywa się i biegnie ku oknu. Tupot jej bosych stóp budzi Jacka. Jacek trochę nieprzytomnie siada w pościeli, ale jego spojrzenie od razu trafia na obraz matki stojącej nieruchomo w rozwartym oknie i tak jasnej dzięki pięknemu, czystemu słońcu, jakby sama była światłem.

Serce Jacka ogarnia niezmierna miłość do matki. Powodów zna on zbyt wiele, by o wszystkich na raz pomyśleć. Ona jest najpiękniejsza, najbliższa, najradośniejsza, najpieszczotliwsza, najmądrzejsza, ma najładniejszy głos, kiedy mówi, i śpiewa również najpiękniej!

Jacek woła:

— Anusiu!

Matka odwraca twarz i Jacek biegnąc ku niej wstrzymuje się wpół kroku. Nagle przerażenie wstrzymuje go jak uderzenie pięścią w pierś.

Twarz matki jest bardzo smutna, oczy ciężkie od łez.

— Anusiu! — powtarza cicho Jacek, a potem krzyczy — Coś ty tam zobaczyła?

Matka nachyla się, przyklęka, obejmuje go ramionami.

— Nic, kochanie... właśnie, że nic.

Słońce poranne bywa także okrutne. Wtedy bywa okrutne kiedy z doskonałą, bezwzględną ostrością uka-

zuje ludzkim oczom całą niehumanitarną pustkę zburzonego miasta. To, co Anna ujrzała za oknem, nie jest nawet ruiną, nawet pustynią nie jest. Okopcony, krwawy od cegianych zwalów, zastygły w słońcu trup miasta. Słońce ukazuje go przerażonym oczom z całym okrucieństwem. Bezruch. Nawet cień ptaka, nawet cień obłoku nie zmaści owej martwoty.

Tylko w pewnej ohydnej chwili, między dwoma głazami, o które wsparło się złamane skrzydło bramy, przemknęła scena śmiertelnej pogoni: szary kłębek szczurzej sierści, a tuż za nią, rozpięty w skoku jak struna, zjeżony wściekłością kot. Po sekundzie dało się słyszeć ciche echo pisku, z którym konał dożynany szczur.

— Nic, kochanie, nic — mówiła szybkim głosem, by powstrzymać jego strach, by odepchnąć własny.

Gdy uciekali stąd, nad miastem wisiał dym jak płyta grobowca. Ale to było jeszcze miasto. A teraz? „Warszawa jest stolicą...” czytała wracając do niej.

Anna patrzy dziś na tę Warszawę po raz piąty od dnia powrotu — piąty już ranek wita ją obrazem takiej właśnie... stolicy. Po raz piąty nie chce się patrzeć, ani myśleć, ani w cokolwiek wierzyć, ani komukolwiek ufać — tylko uciekać, uciekać stąd za wszelką cenę!

Ale Jacek nabrał już w matczyńskich ramionach całkowitej pewności siebie.

— Muszę wreszcie dorosnąć — mówi rzeczowo i podchodzi do okna. Chwilę patrzy, potem wraca.

POŻEGNANIE



PRZED trzema godzinami, przy pierwszym słońcu, które jeszcze nie zdążyło osuszyć nadrzecznych łąk z rosy, od leśnej ściany odbiło się echo strzałów. Wpierw dwa, suche i trzeszczące, potem po kilku sekundach jeszcze jeden, zmieszany z echem tamtych, a mimo to stłumiony, głuchy, daleki.

Potem nastąpiła cisza.

W ciągu owych trzech godzin człowiek powalony już pierwszym ze strzałów coraz pełniej i pewniej zbliżał się ku śmierci.

Morderca nie ukazał nawet swej twarzy. Strzelał z tyłu. Dokonałszy zbrodni, uciekł. Ranny w pierwszych chwilach niezmiernego cierpienia posłyszał tylko ciężki tupot butów, pod którymi z trzaskiem pękały gałęzie.

Potem zaś właśnie nastąpiła cisza letniego poranka, cisza tak pełna życia jak bezszelestny skok wiewiórki na gałąź leszczyny, jak przelot ptaka i spokój nizinnych strumieni.

W ciągu owych trzech godzin w sypką, gliniastą, wyschłą od upałów ziemię łatwo wsiąkała krew. Rytm jej upływu był coraz wolniejszy i słabszy, jak coraz wolniejszy i słabszy był rytm gasnącego serca.

Człowiek konał w trudzie. Zarówno cierpienie, jak strach odebrały wszelki spokój tym godzinom. Chwilami cierpienie było zbyt wielkie i jasny ranek zasnuwała ciemność. Ale potem wraz ze światłem wracał ból, każdy oddech parzył płomieniem, każdy oddech dławiał serce, zalewał oczy potem i łzami.

— Och, ludzie — szeptał ranny — och, ludzie...

Na wysokiej fali bólu przyplýwał też strach. Nawet dłoni nie można było zacisnąć w pięści — tak osłabły. Wymykało się z nich już wszystko: nie ujął klamki domu, nie dotknął ani ramienia żony, ani włosów synowskich, nie poczuł uścisku przyjaznej ręki, ani nie pod-

niosą broni, nie wznieć ludzkiego gniewu przeciw wrogowi.

Czas miał ostatecznie.

Chwilami ranny chciał krzyżeć o ratunek, chwilami zaś z szalonej nienawiści przeciw tym, którzy nastali nań śmierć. Niczego jednak ponad szept nie zdołał wyrzucić jego wargi — choć raz czy drugi ujrzał w dole, na gościńcu, zamglone cienie przechodzących ludzi.

Śmierć szła ku towarzyszowi Ciejce w wielkiej samotności.

Na koniec jednak uczył przyplýw sił. Udało mu się unieść głowę, wesprzeć ją o wielki, krągły kamień i przesunąć barki tak, by móc patrzeć w dół, ku drodze, dolinie i rzece. Wysilek ten był chwilą ogromnego cierpienia — ale nagle ból ścichł, jakby pękła zbyt napięta struna.

Tak też przesiliło się nie tylko cierpienie, lecz wraz z nim również cały żal, strach przed śmiercią i tęsknota za wszystkim, co wymyka się z osłabłych dłoni na zawsze.

Z oczu spłynęła mgła — cały rozciągający się przed przejaśnialnymi oczami obraz nabrał niezwyklej piękności.

LIST



MOJ Najdroższy Synku! Napisałeś mi, że wstępujesz do partii. Odpisuję od razu. Wiem, że nie pytasz o radę. Ale mnie strach ogarnął. Ciągłe się słyszy, że jeszcze ciągle tyłu partyjnych ginie, a ja mam tylko Ciebie jednego i zawsze drżałam o Ciebie. Całe życie byłeś dla mnie tym, co mam najlepszego. I smutno mi, że nie pytasz o radę, choć wiem, że ja Ci nie podług Twoich myśli dora-

dzić nie potrafię. Gdybym wiedziała, gdybym rozumiała dlaczego mam Ci to odradzać, to bym Ci odradzała. Ale ja się tylko o Ciebie boję. I choć dla mnie jest wszystko, to wiem, że dla Ciebie to jest za mało i będzie za mało, byś postąpił inaczej, niż nakazuje sumienie.

Ja zresztą całe życie się tylko wszystkich bałam. Dziadek był zawsze bardzo surowy. Jak coś postanowił, nie odwołał nigdy. Kiedy zabronił mi studiów, nawet płakać nie było wolno. To bardzo stare sprawy, ale czasem chcę Ci przypomnieć, żebyś łatwiej mógł zrozumieć moje wady i niedowolenie.

Jesteś bardzo młody, ale już mądrzejszy ode mnie, więc wierzę, że zrozumiesz. Całe dzieciństwo, całą niłodość bałam się dziadkowego gniewu i krzyku, choć wiem, że Dziadek nas kochał. Tylko że pewnie nie wiedział, jak kochać.

Ojciec jest bardzo dobrym człowiekiem. Nie należy mu się dziwić, że nie mógł dać mi tyle szczęścia, ile pragnęłam — ani Tobie i Jance tyle ciepła, ile się dzieciom należy. Jego życie było bardzo ciężkie. Jak człowieka krzywdzą poza jego domem, to on sam nawet nie wie, ile swojej gorzkości znosi do tego domu. Powinieneś Ojca kochać i pamiętać o nim, jeśli nawet bywa dla Ciebie niesprawiedliwy!

Jest już późno i wszyscy w domu śpią, a ja się właśnie

zastanawiam, dlaczego tak zawsze i wszystkich się bałam. Skąd w moim życiu tyle strachu, tyle płaczu, tyle słabości. I myślę sobie, że pewnie z tego: nigdy nie wiedziałam, o co być w swoim życiu odważną. Jak w siedemnastym roku dostałam medal, jako sanitariuszka, wszyscy albo się śmiali, albo nie rozumieli. A ja wtedy przez rok naprawdę byłam odważna. Wiedziałam, że życie ludzkie trzeba ratować i ratowałam. Ale potem, kiedy wróciłam do domu, wyszłam za męża, urodziłam Jankę, potem Ciebie — znowu nic nie wiedziałam. W takim małym życiu, ze środy na piątek, czego mogłam się trzymać? Ojciec pewnie lepiej rozumiał, jak Was wychowywać i jak całe nasze życie układać. Ja wiem, że moje sprawy to była kuchnia i że tak pewnie powinno było być. Chyba największa wina we mnie samej, że mam życie zmarnowane.

Ale w Ciebie, Synku, wierzę. Ty swojego życia nie zmarnujesz. Zawsze wiedziałeś, czego chcesz od ludzi i od siebie. Ja nie umiałam Cię obronić przed gniewem Ojca przed wojną. W czasie wojny wylałam wiele łez za

Umilkła. Wtedy ujął ją za rękę, zacisnął drżące palce w swoich wraz z grudką ziemi i żytnym korzonkiem. Drugą ręką objął żonę za ramiona.

— Ty przecież wiesz, Ludwika — powiedział wyraźnie choć niegłośno — że ja bardzo ciebie kocham.

Nachyliła się nad jego dłonią. Zaczęła całować. Wyrwał ją jednak i tylko na wargach pozostał gorzki jak od dymu smak tej grudki ziemi, którą się bawił.

Słońce dotknęło już świerków na przeciwnym wzgórzu i świerki na szczycie stały jak w pożarze, a te w dolinie poczerniały, poszarzały na popiół.

Michał podniósł się, odrzucił papierosa. Kurtki nawet nie otrzepał z kurzu.

Poszli szybszym krokiem. Ludwika zmęczyła się, gdy doszli do tunelu. Dalej Michał miał już sam iść nasypem ku stacji. Całując żonę na pożegnanie delikatnie pogłaskał wydufany bliskim macierzyństwem brzuch — miało to być pierwsze dziecko. Nawet nie spamiętała co mówił. Jego głos zcichł w szumie rozkołysanego serca.

Poszedł nie oglądając się już, spiesznym, długim krokiem. Po kilku minutach znikł za chylącą się ze stoku nad nasypem kępą jałowców.

Krzyknęła:

— Michale!

Potem wróciła do domu.

Idąc patrzyła na dolinę nad Olszanką od tak dawna znaną i pamiętaną. Jak twarz matki i głos ojca, jak pierwsza rozpacz i pierwsze szczęście. Mijając pagórek nad łąkami przystanąła. Kładąc dłonie na brzuchu i czując nie pochylając głowę nad słuchiwala dalekiego głosu: dziecko poruszyło się tego dnia po raz drugi.

Dymy z kominów chałup wzbijały się prosto ku ciemniejącemu niebu — na pogodę.

— Wiesz co, Anusiu?

— Co?

— Wybuduj mnie dom — powiada Jacek bez wahania.

Anna czuje rodzący się w niej uśmiech. Rozkłada ręce. — Ty, Jacek, zwariowałeś — mówi — Przecież nie potrafisz.

Jacek obraża się. To nie jest żaden argument. Nie chce nikogo oszukiwać, więc po prostu proponuje uczciwy handel.

— Wybuduj mnie dom — powtarza — a ja, jak dorosnę, wybuduję tobie dwa.

Gorący policzek matki jest szalenie wspinały i przyjemny, kiedy się doń przytula swoje zimne ucho.

— Ja już wtedy będę stara, Jacek — mówi matka ze śmiechem, ale śmiech ów jest niespokojny, co znowu zaczyna drażnić i gniewać Jacka.

Odstępuje o krok do tyłu i pyta z naciskiem:

— Jak ja dorosnę, ty będziesz stara?

— Tak — mówi matka.

Jacek unosi w górę palce z głębokim poczuciem racji: — A widział — powiada — a ja już rosnę!

Wtedy mama chwyta go za łokcie, by wreszcie — po co było tyle korowodów? — złożyć swoje przyrzeczenie:

— Niech ci będzie, Jacek — mówi szybko — zbuduję ci dom.

ci. Znad przeciwnego wzgórza wychodził wielki obłok rozżarzony słońcem do oślepiającej bieli. Wzgórze przecięte pasmem świerkowego lasu też było całe białe i złote — wiatr płynął przez zboże łagodną falą.

Oczy umierającego patrzyły na ów widok z uwagą i spokojem.

Przed rokiem szedł łagodną pochyłością wzgórza. Szedł depcząc ziemię księcia pana, by wymierzyć jej swoją sprawiedliwość: ziemię chłopom. Teraz oto zbliża się czas żniw.

Od wierzb rosnących za mostem słychać dalekie jak cykanie świerszcza śmiechy i krzyki. Nie trzeba widzieć — każdy wie: dzieci pędzą krowy do wody. Potem z daleka nadpłynął turkot wozu — jakaś dziewczyna w czerwonej chustce idąc nad rzeką zaczęła piosenkę, by nagle ją urwać.

Wszystko to zaś działo się pomiędzy dwoma łagodnymi jak nisko osiadłe kopce siana wzgórzami — między wzgórzami, na których kołysało się białe i złote zboże, zasiane przed rokiem, dziś gotowe do żniw.

Żniwa rozpoczęto na trzeci dzień po jego śmierci.

strachu o Ciebie. Ale wiesz, że nigdy Ci słowa nie powiedziałam. Teraz niewiele rozumiem z tego, co się u nas dzieje. W kościele źle o was mówią i wtedy serce mi się ściska. Ale ja w Ciebie, Synku, wierzę.

Wybrałeś taką drogę — nie będę odmawiać, choć sama nie wiem, o co być odważną. Pisałeś mi, że krzywdą ludzka musi z Polski odejść. Niech odejdzie i niech szczególnie na zawsze. Masz dobre, mądre serce i silne ręce. Idź z tą swoją partią. Wygonicie ludzką krzywdę, wypędzicie płacz i strach z ludzkiego życia — Pan Bóg na pewno Wam pobłogosławi. Żeby Ci nigdy nie zabrakło ani dzielności, ani odwagi — także w takiej chwili, o jakiej nawet napisać nie chcę. Myślę, że tym sposobem będziesz o tysiąc lat bliżej szczęścia niż ja. A ja życzę Ci go z całego serca i na pożegnanie gorąco Ci ściskam i całuję. —

Twoja Matka

P. S. Czy byłeś już u dentysty i u prześwietlenia płuc? Odpisz szybko!!!

DAJSZY CIĄG NASTĄPI

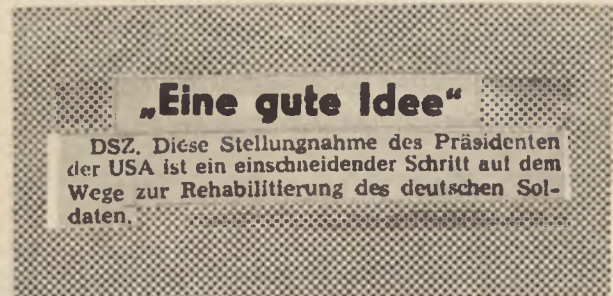
SWIAT

o tym wie!

„DOBRY POMYSŁ”



„Niemieccy żołnierze równouprawnieni” — głosi całokolumnowy nagłówek w „Deutsche Soldaten Zeitung” z dnia 4 lutego 1954 r. Organ zachodnio-niemieckich militarystów powołuje się przy tym na wypowiedź samego prezydenta Eisenhowera, który oświadczył, iż przyjęcie hitlerowskich żołdaków do amerykańskiego związku byłych wojskowych — to „dobry pomysł”.



„Stanowisko zajęte przez prezydenta Stanów Zjednoczonych — pisze z zachwytem „Soldaten Zeitung” — stanowi decydujący krok na drodze rehabilitacji niemieckich żołnierzy”.

Cóż w tym właściwie dziwnego? Czymże różni się Manstein od MacArthura, czy Kesselring od Ridgwaya? Chyba jedynie tym, że amerykańscy uczniowie prześcignęli jeszcze w krwawym rzemiośle swych hitlerowskich mistrzów.



„Zgadamy się z tym, iż będziemy całkowicie rozbieni, że nasz przemysł wojenny zostanie zniszczony i że na wiele lat poddani zostaniemy kontroli. Pójdę nawet dalej — jestem głęboko przekonany, że naród niemiecki zgodziłby się na prawną neutralizację Niemiec na wzór Szwajcarii”.

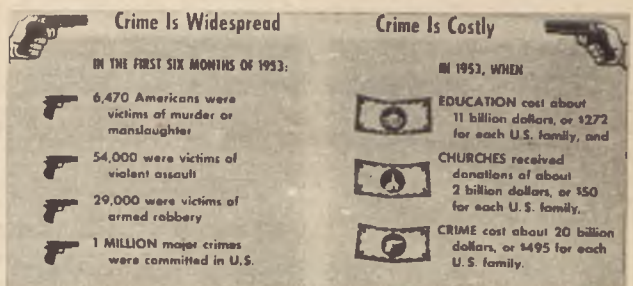
Konrad Adenauer w roku 1947.



26 lutego 1954 roku parlament boński uchwalił na wniosek Adenauera i Heussa zmianę konstytucji, umożliwiającą oficjalną już odbudowę Wehrmachtu.

FBI MA PEŁNE RĘCE ROBOTY

Szef amerykańskiej policji, federalnej — FBI — Mr J. Edgar Hoover żali się gorzko w raporcie opublikowanym przez tygodnik „US News and World Report” (z 19 lutego 1954 r.) na szalony wzrost przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Tygodnik ilustruje ten raport poniższym wykresami:



„PRZESTĘPCZOŚĆ SIĘ SZERZY — PRZESTĘPCZOŚĆ JEST KOSZTOWNA” — głosi tytuł.

Dowiadujemy się że, że w ciągu sześciu pierwszych miesięcy 1953 roku 6470 Amerykanów padło ofiarą morderstwa, 54.000 ofiarą pobicia, 29.000 zostało napadniętych przez uzbrojonych rabusiów i że zdarzyło się ogółem milion przestępstw.

Łączne straty poniesione wskutek tego wyniosły 20 miliardów dolarów, tzn. średnio 495 dolarów na rodzinę amerykańską. I to wszystko w ciągu jednego półrocza — biada Mr Hoover.

A co — zapytacie — robiła w tym czasie jego policja? Och, policja p. Hoovera była zajęta czymś zupełnie innym. Np. badaniem, czy pewna stara Murzynka, zamiatająca podłogi w kantynie którejś jednostki wojskowej, czytała w młodości Karola

Marksa, a jeśli nie, to dlaczego? Bo z zeznań jednego z konfidentów policyjnych przed komisją senatora McCarthy wynikało niezbicie, że czytała, a owa Murzynka twierdzi, że nigdy nie słyszała o żadnym Marksie. Rzecz jasna, że FBI musi jej teraz udowodnić, iż nie ma racji i że 40 lat temu miała u siebie w szufladzie „Manifest Komunistyczny”. Sami rozumiecie, jak trudno taką rzecz po tylu latach udowodnić! A senator McCarthy kazał starą Murzynkę wylać z posady za działalność antypaństwową i żąda teraz dowodów jej zbrodni. Skąd więc może FBI znaleźć czas, by ścigać bandytów i morderców?

SPRAWIEDLIWA W SODOMIE



Katharine Hepburn, znakomita artystka amerykańska, nie cieszy się sympatią senatora McCarthy'ego. Nie można się zresztą dziwić: Hepburn (nb. jedyna wśród swych koleżanek posiadająca wyższe wykształcenie — doktorat filozofii) należy do tych artystów amerykańskich, którzy zdecydowanie przeciwstawiają się faszystacji Hollywood. Poza tym — podpisała ona Apel Sztokholmski i nie kryje się bynajmniej ze swymi poglądami na działalność amerykańskiego „łowcy czarownic”.

Nic też dziwnego, że senator z Wisconsin zażądał od niej wypełnienia obszernej ankiety na temat jej poglądów politycznych. Odpowiedź Katharine Hepburn, która opublikowana została w prasie zachodniej, brzmiała:

„W czasie panowania Mussoliniego byłam przez dwa miesiące we Włoszech; czy oznacza to, że jestem faszystką? Ostatnio z wielkim zainteresowaniem przeczytałam książkę o życiu Józefa Stalina; czy oznacza to, że jestem komunistką? Poza tym muszę donieść, że posiadam wille w miejscowości noszącej nazwę „Wyspa Dziewicy”. Wyciągnięcie odpowiednich wniosków z tego faktu pozostawiam panu”.



Spostrzegłam na biurku, i to z wielką radością, sporą ilość listów od Czytelników, którzy, jak prawdziwym „światowcom“ przystało, z miejsca odpowiedzieli na zaproszenie, by podzielić się ze mną wrażeniami ze swych warszawskich spacerów i spostrzeżeniami z codziennego życia.

Jest więc o guziku w chlebie, o kupionej w aptece pustej fiole insulin, o futrynach drzwi w nowych blokach na MDM, które to futryny, złośliwie ruchome, mają tę miłą właściwość, że wchodząc do mieszkania razem ze

szczęśliwym posiadaczem przydziału, o... itd., itd.

Ale z racji trwającej już dwa tygodnie wiosennej akcji sanitarno - porządkowej, oddaję dziś głos przede wszystkim mieszkańcom domu nr 1 przy ul. Sułkowskiego, którzy piszą:

„Syrenko, przyjdź, zobacz, sfotografuj! Dużej nie wytrzymamy. Jeszcze jedno takie lato jak poprzednie, a tyfus, cholera i dżuma wykończą nas wszystkich!“

Nikt, jak wiadomo, nie wzywa Syrenki na próżno. Wzruszona tym rozpaczliwym błaganem pobiegłam co tchu w piersiach wraz z nieodłącznym moim towarzyszem - fotoreporterem. I...

Wiedziałam, że 'est na Żoliborzu mały, ale uroczy park im. Żeromskiego, że jest „pedeciak“, w którym często znajdziecie to, czego beztętnie szukacie w innych, że powstał nowy, ładny pono teatr. Nie miałam jednak pojęcia, że Żoliborz poszczycić się może jedynym chyba w Warszawie Centralnym Śmietnikiem.

Zbliżając się do domu nr 1 przy ul. Sułkowskiego, dostrzegłam go już z daleka. To, co widzicie na fotografii — to szczytnik. Widok ogólny, z lotu ptaka, jest daleko wspanialszy. Podobno piloci przelatujący w tych stronach specjalnie zniżają lot, by obejrzeć ten ósmy cud stolicy.

Pozwólcie na krótki zarys historyczny. Śmietniki bowiem mają także swoją historię. Ten narodził się przed przeszło ro-

kiem, gdy nowozbudowany blok przy ul. Krasieńskiego (którego fragment widać na fotografii) postanowiono odgrodzić murkiem od podwórza posesji przy ul. Sułkowskiego.

Najpierw wykopano rów. Potem zasypano go, bo był nierówny. Następnie wykopano nowy. Potem ułożono ze trzydziści cegieł. Trwało to około roku. W tym czasie Pałac Kultury zdążył wystrze- lić w niebo o kilkadziesiąt pięter.

„Cegła, plach, śmiecie, szkło zaczęły walić się na nasze podwórko — piszą mieszkańcy z Sułkowskiego. — Ponieważ zawałono drogę do śmietnika, M.P.O.M. nie mogło wywozić śmieci. Latem zaduch był tak straszny, że nie mogliśmy otwierać okien. Miliony wielkich, granatowych i zielonych much obsiadały szyby tak gęsto, że w pokojach robiło się ciemno. Zbli- ża się wiosna, a z nią perspektywa tego wszystkiego, co przeżyliśmy ubiegłego lata. Syrenko, ratuj!“

Wielce Szanowne Instytucje, których najprostszym a świętym obowiązkiem jest zlikwidowanie Centralnego Śmietnika Żoliborskiego przy ul. Sułkowskiego 1! Nie nazywam was po imieniu, bo wiem, że w myśl zasady: uderz w stół, a nożyce się odezwią, same zaczniecie mi czym prędzej przysyłać rozmaite wyjaśnienia. Jeżeli jednak ich treścią ma być li tylko zwala- nie winy na drugiego, zaoszczędźcie so- bie i mnie niepotrzebny trud. Jak ho- wiem zobaczycie w post scriptum niniejszego, Syrenka nie toleruje wykrętów.

Napiszcie dopiero wtedy, gdy będziecie mogli powiedzieć: Syrenko, przyjdź, sprawdź, sfotografuj, jak tu teraz czysto i przyjemnie!

POST SCRIPTUM. Centralny Zarząd Przemysłu Piekarniczego przysłał długie wyjaśnienie w sprawie „ogłoszenia wy- wieszonego w sklepie W.S.S., określają- cego czasokres czystości pieczywa“.

Pamiętacie zapewne te grahamki, „uwa- żane za czerstwe po 96 godzinach“.

(„Świat“, Nr 11). Na wyjaśnieniu tym można zresztą złamać zęby podobnie jak na owych grahamkach. Dowiadujemy się z niego mianowicie, że chodzi o umożli-



wienie kupna „konsumentom żądającym produktu w stanie czerstwiejszym“.

Wybaczcie panowie. Bujać to w y, ale nie nas! Widziało się w życiu niejedną ogonek, ale takiego, który by stał po czer- stwie pieczywo, żadne ludzkie oko w Warszawie nie oglądało. I doprawdy, dla tej jednej gospodyni, która raz ze- chce kupić czerstwą bułkę do kotletów, nie warto, wierzyć mi, robić w sklepach „odrębnej gabloty“ ani „wyodrębnionych półek“ z pieczywem, które przeleżało się 48 czy też 96 godzin. Zwałać winę na Zwią-zek Spółdzielni Spożywców — łatwo, ale to zbyteczne. Ich grzeszki wyszperam sama. Wy zaś pomyślcie lepiej o tym, by piec tyle chleba, ile go warszawscy po- trzebują — uniknięcie „nagminnych“, jak to twierdzą, zwrotów — i niech ten chleb będzie zawsze świeży i na czas. Zapewniam was, że wówczas i wy i my jed- nakowo będziemy zadowoleni. Twarde słowa wybaczcie. To dlatego, że serce mam miękkie.

Drodzy Czytelnicy!

Widocznie jednak w naszej redakcyjnej kuchni i gospodar- stwie nie jest tak zupełnie dobrze, skoro otrzymujemy nastę- pujący list:

„Jestem stałym czytelnikiem „Świata“ i uważam go za jeden z naszych najlepiej redagowanych tygodników. Zresztą nie ja sam jeden.

„Świat“ jest zawsze ciekawy, stoi na poziomie, uczy, bawi, itd. itd. Ale...

Ale jakim prawem... kaduka mogły się w numerze 12 z 21.3. b.r. na stronie 23 w stałej rubryce „Nasze gospodarstwo“ wkraść takie „rady“, jak: nie parzyć sobie palców przy uno- szeniu pokrywki, i ta sprawa przedwiosennych porządków do- mowych!

Nie! Tu musiała zająć pomyłka! Materiał (niektóry) ostat- niego „Naszego gospodarstwa“ na pewno przeznaczony był dla kogoś innego. Może dla ludzi... hm... w Pernambuko? Nie wiem nawet, gdzie to Pernambuco leży, i może nawet mimo woli tych tam żyjących ludzi obrażam? Może to nawet ludzie również kulturalni! W takim wypadku z góry przepraszam. Przecież w w. „rady“ były wyraźnie skierowane do bruda- sów. „Świat“ idzie również w świat. Co o nas ludzie gotowi pomyśleć?

Cóż za higieniczne podejście z tym owijaniem sznurkiem pa- pierowym? Jak pięknie musi się przedstawiać zmywanie tych naczyń! Palce lizać po potrawach (z armią gromadzących się tam bakterii), przyrządzanych w tych genialnie udoskonalo- nych naczyniach! Bakterie na pewno obiorą sobie ów sznu- rek za bazę wypadową. Ob. Redaktorze! Zjadłoby Obywatel po- siłek u autora tego pomysłu? Bo ja nie!

Przecież można w prosty sposób uniknąć poparzenia sobie palców. Wystarczy palątkowi czajnika zapewnić pionowe usta- wienie podczas gotowania wody, a na pewno nie będzie pa- rzył. Można to łatwo zrobić, zakładając na palaku odpowiednio kawałek drutu. A uchwyty pokrywki i uszka patelni po pro- stu nie dotykać gołą ręką. Tego nie uczyni żadna gospoia z prawdziwego zdarzenia.

Zgroza bierze czytając „Przedwiośnie“ w tej samej rubryce. Przecież czytając tę brednię — obojętnie czy pionowo czy po- ziomko, czy wreszcie wspan — nieuchronnie dochodzimy do wniosku, że podczas długiej zimy nie wietrzymy, nie sprząta- my — tylko czekamy z utęsknieniem na moment (nastania przedwiośnia), kiedy to będziemy mogli, w myśl wskazań auto- ra, „poodrywać zwisające i poszarpane kawałki waty, zamieść (z grubsza przede wszystkim) podłogę, itd.“

Nie! Ja oświadczyć radzę tych zwisających kawałków jednak nie odrywać. Przecież można je pomalować — np. w kolory tęczy? Będzie ładniej! A może lepiej już z nastaniem zimy za- sypać nasze okna odpowiednią kupą gnoju? Będzie jeszcze cieplej! A i podłogę będzie trudniej przy tym dobrać. Do- prawdy! Autor musiał tego oświeślenia niedawno doznać, kiedy to — jak sam mówi — „dni stały się dłuższe, jaśniejsze“. Tyl- ko ciekawe, jak mógł on te „zwisające kawałki“ przez te jego szyby dobrać? Musiały być (zabiera się dopiero teraz do czysz- czenia) przecież porządnie brudne!

A z tą benzyną? Drobnostka! To przecież nieważne, że ben- zyna sprzedawana na stacjach benzynowych zawiera substan- cje trujące i wysoce dla zdrowia szkodliwe!!! Nieważne rów- nież, że każdy dobrze wie, iż benzyny tej nie można, ba, nawet nie wolno używać do innych celów, poza jej zasadniczym przeznaczeniem, tj. do napędu silników spalinowych. No, ale nie dziwny się, że autor — ujrzawszy po nastaniu tych wia- snie „jaśniejszych dni“ skutki swej zimowej gospodarki — stał się desperatem.

Zbyteczna jest ostatnia rada autora.

Tymi 5 litrami benzyny nie trzeba się dzielić z sąsiadkami. Nie musimy również sporządzać żadnej pasty, papki czy rzad- kiej cieczy. Wystarczy równo rozlać i... podpalić... i oddać się w ręce sprawiedliwości. O ile wcześniej nie dostaniemy się do szpitala. W związku z tą benzyną. Do bani z takim mieszka- niem! Bo widzicie. Państwo w trosce o zdrowie obywateli ostrzega przed użyciem tej benzyny do innych celów, obsłu- dze stacji benzynowych zaleca rękawice ochronne, ostrzega przed rozlewaniem itd. A Wy tak dobroduszenie z radą do czy- telników. I pomyśleć! W moim kochanym „Świecie“.

Mam nadzieję, że „Świat“ dostrzeżi swoją pomyłkę i tę hi- storię z benzyną sprostuje.

KAROL MORYS

Zabrze

gorący zwolennik zawsze czystego, wietrzonego — nawet podczas zimy — mieszkania i wróg sprzątania „z grubsza“.

My też!

„ŚWIAT“

FILATELISTYKA



Nowe znaczki węgierskie

Z okazji Międzynarodo- wego Dnia Kobiet poczta węgierska oddała do użyt- ku nową serię, złożoną z sześciu znaczków: 30 file- rów — niebieski, 40 fil. — żółty, 60 fil. — fioleto- wy, 1 forint — jasnozielo- ny, 1,50 ft. — brunatny,

2 ft. — ciemnozielony. Ostatnie trzy znaczki (1, 1,50 i 2 ft.) przeznaczone są dla poczty lotniczej (Legis- posta).

Wszystkie znaczki mają jednakowy format 25 x 37 milimetrów i ząbkowa- nie 8. (k)

NOWE KSIĄZKI

Na rynku księgarskim uka- zały się ostatnio następujące nowe przekłady oraz wzo- wienia powieści francuskich:

ANATOL FRANCE — „Bunt aniołów“ (Książka i Wiedza) str. 223, zł 9.10 — wznowienie jednej z najsympatyczniejszych po- wieści wybitnego francuskie- go pisarza, którego twórczość krytyka burżuazyjna nie mogła odmówić najwyższych wartości artystycznych (na- groda Nobla w roku 1921). Równocześnie France ścigał na siebie istną burzę niena- wiści ze strony reakcji róż- nych odcieni swą ostrą i ośmieszającą satyrą. „Bunt aniołów“, to gwałtowny atak na przegniłą moralność mie- szczańską, rozprawa z burżu- azyzmem, „patriotyzmem“ oraz teoriami społecznymi służącymi do ogłupiania i wyzyskiwania ludzi. W oś- śniewającej, pełnej niezwy- kłego humoru książce autor porusza wiele ważnych, dotąd aktualnych problemów spo- łecznych.

BEDIER — „Dzieje Tristana i Izoldy“ (PIW, str. 157, zł 3.50). Opowieść o Tristanie i Izoldzie jest obok opowieści o świętym Graalu jednym z najstarszych mitów sławnego okrągłego stołu rycerzy króla Artura. Opowieści okrągłe- go stołu zrodziły obfitą lite- raturę rycerską, która za po- średnictwem trubadurów roz- chodziła się po średniowiecz- nej Europie. Dzieje Tristana i Izoldy z zachowanych szesnastu poematów XII- wiecznych odtworzył znako- mity romanista francuski Bedier, utrzymując pierwot- ną prostotę i namiętny wdzięk rycerskiej opowieści. Opo-

wieść sławi waleczne i nie- zwykłe czyny rycerza Tri- stana, który pokochał jasno- włosą Izoldę. Kochankowie, skazani na okrutną rozłąkę, umierają. Opowieść ta jest uznana za „najpiękniejszy i najgłębszy poemat miłości, jaki ludzkość kiedykolwiek wydała“ — jak pisał Boy-Ze- leński w przedmowie do jed- nego z dawnych wydań książ- ki.

DIDEROT — „Kubuś fatali- sta i jego pan“ (PIW, str. 295, zł 10.—). „Kubuś fatalista“ na- pisany w roku 1773 doczekał się francuskiego wydania do- piero w roku 1796, po śmierci swego znakomitego autora. Arcyzabawne przygody Ku- busia i jego pana, pełen po- godnej filozofii dialog, per- listy humor i satyra książki godziły bowiem zbyt bezpo- średnio w murszejący stary porządek Francji i niosły ze sobą powiew rewolucji. Prawdy życiowe głoszone przez Kubusia iskrsa się dow- cipem, bawią i wzruszają współczesnego czytelnika. Kubuś jest przedstawicielem ludu francuskiego — repre- zentuje jego odwagę i dzie- lność, wyraża zdrową, nie- skomplikowaną filozofię ży- ciową.

ANDRÉ STIL — „Pierwsze starcie. Statek z bronią“. (Czytelnik, str. 290, zł 11.50) Jest to druga powieść w trzy- tomowym cyklu „Pierwsze starcie“. Pierwszy tom („Pod wieżą ciśnienia“) ukazał się na- kładem „Czytelnika“ wiosną ub. roku. Obecny, drugi tom nosi tytuł „Statek z bronią“. Podobnie jak w pierwszym tomie, tak i tu osiłą powieść jest walka francuskiej klasy robotniczej z imperialistami amerykańskimi i ich francu- skimi poplecznikami prze- ciwko brudnej wojnie i groź- bie nowej rzezi światowej. Autor ukazuje siłę koordynu- jącą i kierującą walką mas — partię komunistyczną.

LENGREN



— Dotarliśmy do miejsca, którego nie tknęła jeszcze stopa ludzka.

FRASZKI

O WATYKANIE

Choć apolityczny pono,
Jednak pro publico bono
Zrobi wszystko (fakt to znany)
Gdy cel — USAnkjonowany.

O „POMOCY“ AMERYKAŃSKIEJ

Rzekł cielak: — Konam z głodu!...
Poratuj! — zapłakał.
— Skróćć męki — wilk na to,
I... pożarł cielaka.

BIUROKRATOM

Poniżej streszczam nowy punkt widzenia:
(Praccho biurokratom jeszcze jeden atak!)
Gdy biurokrata piodzą sązadzania —
Ta sązadzania piodzą biurokratów.

WALDEMAR BIEŻANOWSKI

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Admini- stracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówie- nia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jero- zolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 193. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 5-B-14209 podpisano do druku dnia 7.IV.54 r.

SZACHY

PARTIA NR 104

grana w „Turnieju Kandydatów” w Szwajcarii
Partia hiszpańska
Białe: Bolesławski
Czarne: Keres

1. e2-e4 e7-e5 2. Sg1-f3 Sb8-c6 3. Gf1-b5 a7-a6 4. Gb5-a4 Sg8-f6 5. 0-0 Gf8-e7 6. Wf1-e1 b7-b5 7. Ga4-b3 0-0 8. c2-c3 d7-d6 9. h2-h3 Sc6-a5 10. Gb3-c2 c7-c5 11. d2-d4 Hd8-c7 12. Sb1-d2.

Powstała pozycja obrony Czygorina w partii hiszpańskiej; do dziś jest ona używana z dużym powodzeniem.

12... Wf8-d8.

Jest to mniej znana kontynuacja. Najczęściej grywają tu 12... Gd7, 12... Sc6, lub 12... c:d4 13. c:d4 Gb7. Posunięciem w tekście czarne przygotowują grę w centrum.

13. Sd2-f1 d6-d5
Oto plan kontr gry czarnych!

14. e4:d5 e5:d4 15. c3:d4 Sf6:d5 16. Hd1-e2 Gc8-b7 17. Sf1-g3 c5:d4 18. Sf3:d4.

Należało grać 18. Sf5 i dopiero po 18... Gf8 19. S3:d4, a na 18... Gf6 19. Sh6+! g:h6 20. He4. Po posunięciu w tekście białe zaczynają odczuwać trudności.

18... g7-g6 19. Gc1-h6 Ge7-f6 20. Sd4-b3 Sa5-c4 21. Sg3-e4 Gf6:b2 22. Sb3-c5.

Białe oddają jakość, gdyż po 22. Wab1 względnie 22. Wad1 czarne grając 22... Gg7 zostawały z pionem więcej i lepszą pozycją.

22... Gb2:a1 23. Wel:a1 f7-f5! 24. Sc5:b7 Hc7:b7 25. Se4-c5 Hb7-c6 26. Sc5-d3 Sd5-c3 27. He2-d1 Hc6-f6 28. f2-f4 Sc3-e4.
Oczywiście nie 28... W:d3? 29. G:d3 Hd4+ 30. Kh2 i czar-

ne nie mogą bić na d3, bo 31. He6+.

29. Kgl-h2 Hf6-c3 30. He1-b1 Sc4-d3 31. Hb1-c1 Wd8:d3 32. Gc2:d3 Hc3:d3 33. Hc1-c7 Sd2-f3+! i białe poddały się.

MECZ SZACHOWY „ŚWIAT” — CZYTELNICY

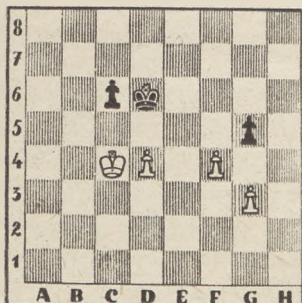
W wariantcie W1 znowu panowała jednomyślność wśród Czytelników — wszyscy zdecydowali się na 52... Ke6-d6.

W partii W 209 zwyciężyło

posunięcie 52...Ke7-d7 (56,4%) przed 52... Gg2-h1 (40,1%).

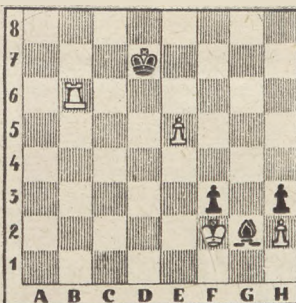
Tak więc po uwzględnieniu posunięcia Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

PARTIA W 1



51. Ke3-d3 Kf5-e6
52. Kd3-c4 Ke6-d6
53. f3-f4

PARTIA W 200

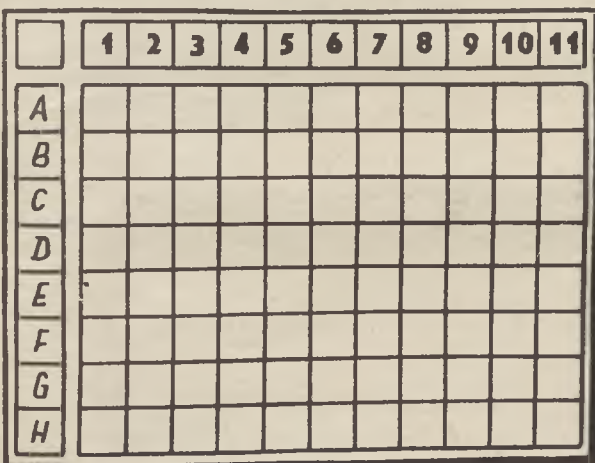


51. Kd4-e3 Kd7-e7
52. Ke3-f2 Ke7-d7
53. Wf6-b6

Przypominamy, że odpowiedzi na 53 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek 13 kwietnia br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Poziamo: A-1) Substancja przyspieszająca lub hamująca szybkość procesów chemicznych, przy czym sama nie ulega zmianie, B-1) Część całości, B-7) Najprostszy organizm żyjący w wodzie w kształcie gałaretowatej masy, C-1) środek używany przy lutowaniu, C-7) Skrót terminu spotykanego w boksie, C-9) Składność końcówek w wierszu, D-1) Owoc południowy, D-7) Dopływ Wolgi, D-10)

Zaimek wskazujący, E-1) Zaimek wskazujący, E-3) Zwierzę kręgowce (nazwa ogólna), E-7) Część lokalu, F-1) Dzienny wpływ kasowy w sklepie, F-6) Nuta, F-8) Zdolność wypowiedzenia się, G-1) Postać z „Niemców” L. Kruczkowskiego, G-4) Scena cyrkowa, G-9) Ruch rytmiczny, płas, H-1) Papugi o barwnym upierzeniu, H-4) Statek korsarski, H-9) Marka aparatów radiowych.

Pionowo: 1-A) Obkreslenie objętości brył, 2-A) Symbol chemiczny argonu, 2-B) Brzuch, wnętrzności, 2-F) Zaginiony ssak leśny podobny do żubra, 3-A) Kłopoty, zmartwienia, 4-A) Rodzaj roli aktorskiej, 4-F) Skorupiak jadalny, 5-A) Medykament, 5-D) Rzeka wpadająca do zatoki Ryskiej, 5-F) Zabawa, rozrywka, 6-A) Litera używana najczęściej do oznaczenia niewiadomej w matematyce, 6-D) Lokal handlowy, 7-A) Miejscowość wypoczynkowa w Tatrach, 8-A) Szok nerwowy, któremu ulegają nałogowi palacze haszysz, 8-E) Poeta perski z XI w., 9-A) Artystyczne wyroby z gliny kaflowej, wypalane i nieemaliowane, 10-A) Symbol chemiczny tlenu, 10-B) Miasto powiatowe w woj. koszalińskim, 10-G) Symbol chemiczny srebra, 11-A) Narodowa epopeja starożytnych Indów.

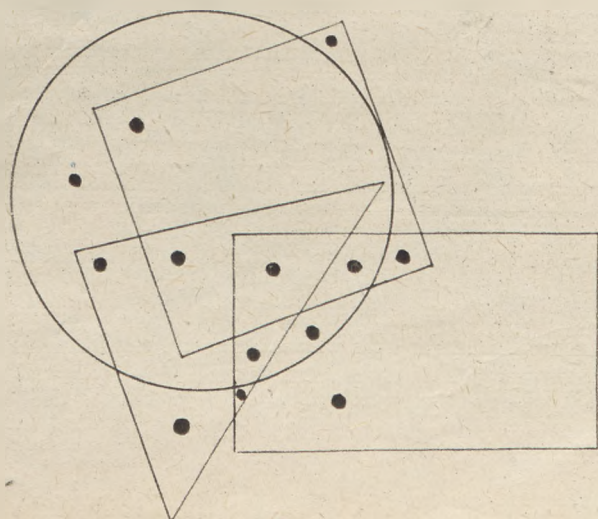
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 132

Prawidłowe rozmieszczenie punktów wskazuje rysunek. Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 132 nagrody książkowe otrzymują:

1) A. Buck — Gniezno, 2) B. Budkowska — Karczew, 3) K. Dumanowski — Międzyrzec, 4) E. Grzywacz — Międzyrzec, 5) J. Kirkor — Sopot, 6) Z. Kochanowski — Chorzów, 7) B. Malecki — Bydgoszcz, 8) B. Martyn — Gdańsk, 9) M. Moroz-Bohuszewicz — Olaszyn, 10) M. Okulski — Jasło, 11) J. Pasturczak — Kutno, 12) I. Ratińska — Kraków, 13) A. Seroich — Lublin, 14) R. Sikora — Rudnik, 15) M. Soltyskowska — Mysłowice.



ce, 16) A. Suracka — Trębaczów, 17) B. Scibisz — Jelenia Góra, 18) J. Vetulani —

Kraków, 19) J. Wasilewska — Warszawa, 20) K. Wojtkowiak — Gdynia.

1



2



TANIO i ŁADNIE

Dzisiaj — sześć modeli włosennych. Są to płaszcze i suknie wełniane — lekkie, ale jednak ciepłe, dostosowane do naszego klimatu.

Pamiętajcie, że jeśli nie chcecie się przeziębować (a która kobieta chce obnosić zaczerwieniony i opuchnięty od kataru nos?) — ubierajcie się odpowiednio do pogody. Ciężka odzież zimowa (tak samo zresztą jak zbyt lekka wiosenno-letnia) noszona w porach tzw. przejściowych — to... gwarancja kataru, grypy itp.

Natomiast, przy okazji, chcieliśmy zważyć przesąd o złym działaniu deszczu na cerę. Nieprawda. Kobiety, nie bójcie się deszczu i mgły! Działanie deszczu na naskórek — jest czymś w rodzaju masażu.

1. Żakiet z samodziału lub wełny. Bardzo praktyczne okrycie wiosenne. Poza tym idealny model przeróbkowy — żakiet można zrobić z używanego, podniszczonego płaszcza.

2. Płaszcz z popeliny impregnowanej, do którego przypinamy kapużę.

3. Suknia z wełny (sześćdziesiątki) pod płaszcz.

4. Suknia wełniana z oryginalnym wycięciem pod szyją, do której stale nosimy szalik kolorowy.

5. Prosty płaszcz wiosenny z wełny lub samodziału.

6. Jeszcze jeden płaszcz o bardzo modnych liniach

3



4

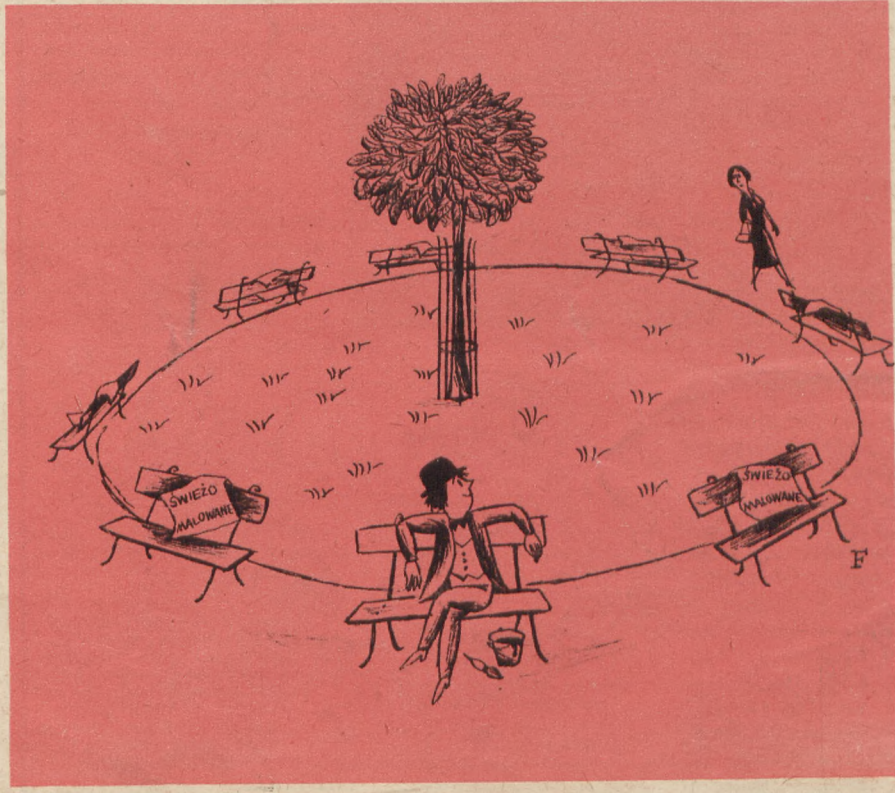
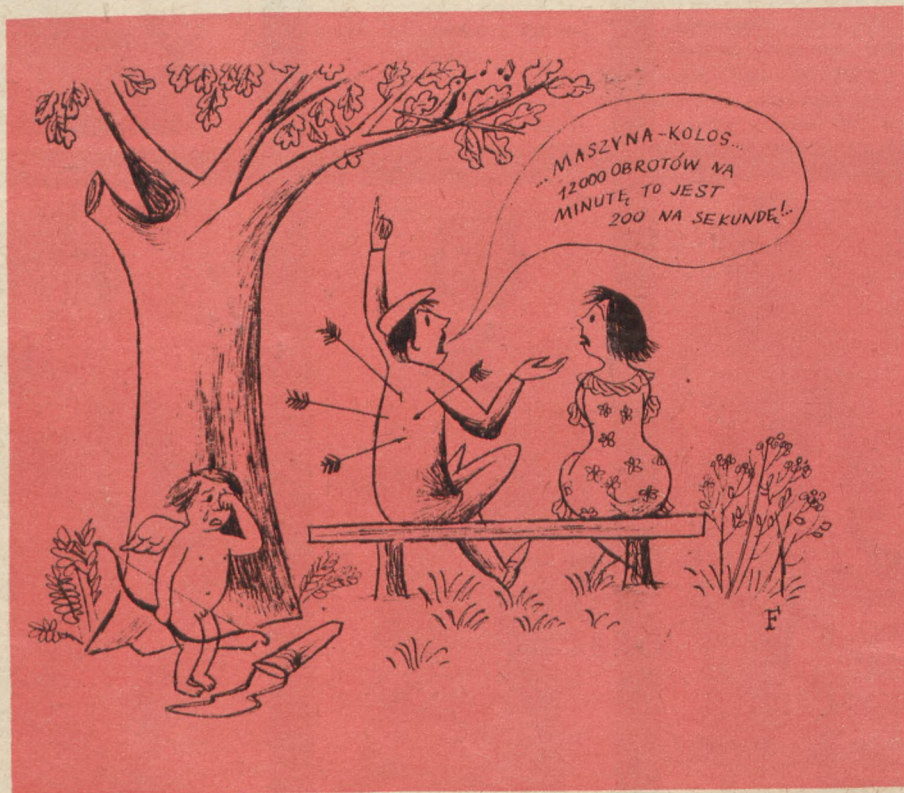
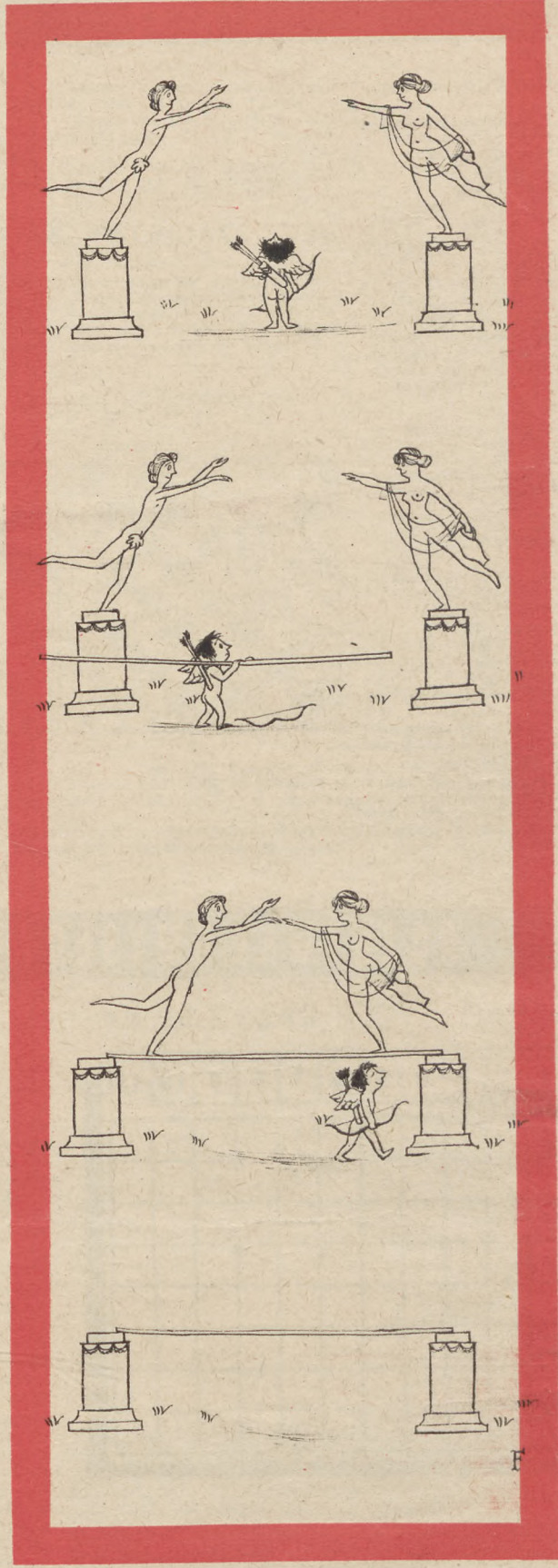


5



6





BEZ SŁÓW